

wiadomości kościańskie

ISSN 1231-9589

pismo regionalne · cena 5 zł · nr 6-7 (228-229) · czerwiec/sierpień 2011

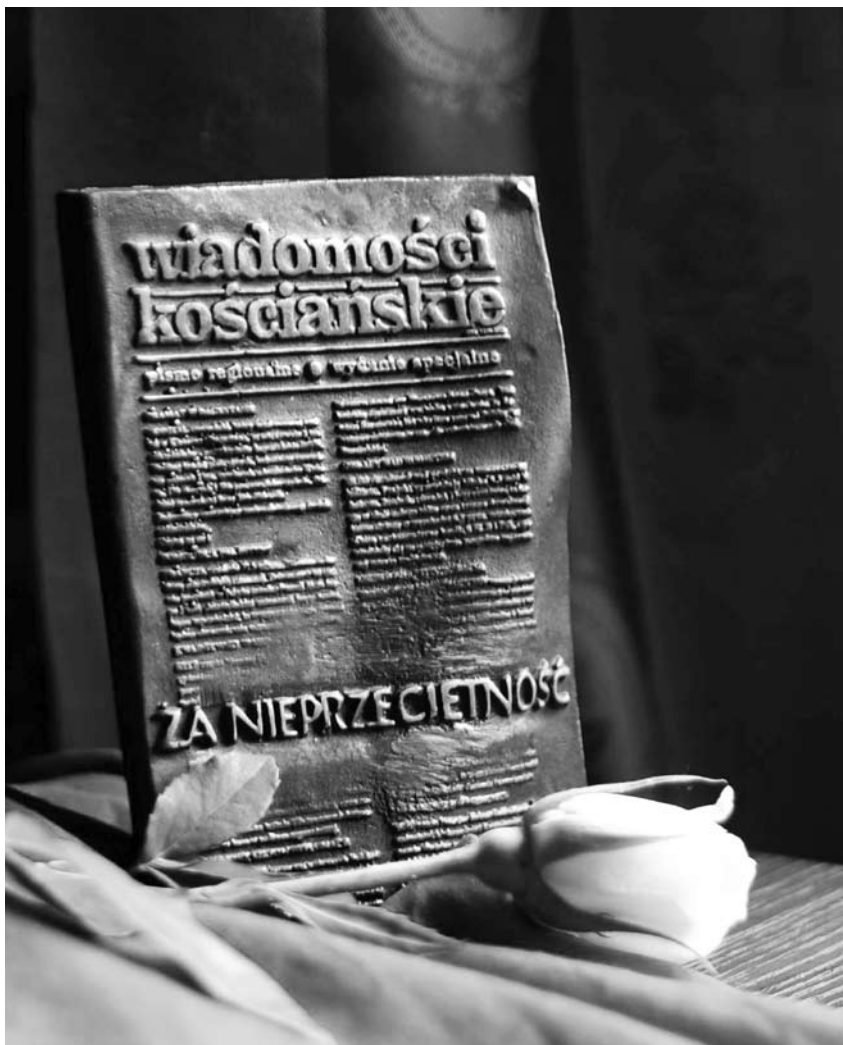


Maciej Zaremba Bielawski promuje w Kościanie książkę „Higienišci”

Fot. Bogdan Ludowicz

Nieprzeciętni 2010

Redakcja „Wiadomości Kościańskich” nagrodziła osoby, które mają wybitne zasługi w dziedzinie kultury i życia społeczno-gospodarczego Ziemi Kościańskiej. Statuetkę z brązu przedstawiającą tytułową stronę „WK” otrzymało już kilkadziesiąt znanych i cenionych postaci; dziennikarzy, regionalistów, działaczy społecznych i samorządowych oraz przedsiębiorców. Wśród wyróżnionych są także obcokrajowcy i przedstawiciele emigracji polskiej związani z Wielkopolską. ➔



Brązowa statuetka Wiadomości Kościańskich

Fot. Bogdan Ludowicz

W numerze m.in.:

Z poetą i tłumaczem
Eugeniuszem Wachowiakiem
rozmawia Teresa Masłowska
(6–7)

Maciej Zaremba Bielawski
– autor książki
pt. „Higienišci” w Kościanie
(8–9)

Absolwentów pierwszej
matury w Kościanie
przypomina
Zdzisław Wojtczak
(20–22)

„Gazetę Polską” z 1929 roku
przedstawia Jan Pawicki
(29)

Kulisy osadnictwa
Ziem Zachodnich ujawnia
Jerzy Zielonka
(39–41)

Rowerem po Ziemi Kościańskiej
jeżdżą Leszek Michalczak
i Agnieszka Wróblewska
(46–51)

Tajniki wędkarstwa zdradzają
Józef Jędrowiak i Edward Żurek
(52–54)

„Wiadomości Kościańskie”. Pismo regionalne, ukazuje się od czerwca 1988 roku. Laureat głównej nagrody IV Konkursu Institute for Democracy in Eastern Europe. Wydawca: Przedsiębiorstwo „AGA” w Kościanie. Redaguje zespół: Teresa Masłowska (redaktor prowadzący), Jerzy Wizerkaniuk (red. naczelny), Jolanta Napierała (z-ca red. naczelnego), Alicja Żurek (marketing i kolportaż). **Adres redakcji:** 64-000 Kościan, ul. Dworcowa 2, tel./fax (0-65) 512-16-15. Druk: Drukarnia Zbigniew Sołtysiak, ul. Surzyńskiego, Kościan. Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania nadsyłanej korespondencji, nie zwraca materiałów nie zamówionych i nie odpowiada za treść ogłoszeń.

Laureaci XXI edycji nagród „Wiadomości Kościańskich” za rok 2010

„Za przedsiębiorczość”

Ryszard Kozak i Zbigniew Stodolski

Właściciele firmy FKS Okucia Okienne i Drzwiowe Sp. z o.o. w Bronikowie. Ich zakład rozpoczął działalność w 1998 roku od wytwarzania klamek aluminiowych i zatrudnił cztery osoby. Systematycznie tworzyli markę spółki, poszukiwali nowych klientów i inwestowali. W ciągu 13 lat działalności FKS stała się firmą, która z powodzeniem funkcjonuje na europejskim rynku. Obecnie zatrudnia 140 pracowników, dysponuje prawie 8 tys. m. kwadratowych powierzchni produkcyjnej i eksportuje ponad 70 proc. swoich produktów. Mało tego, posiada też własne biuro konstrukcyjne oraz nowoczesną narzędziownię, co umożliwia wytwarzanie nowych produktów i kreowanie trendów na rynku. Liczby mówią same za siebie, rocznie firma produkuje 4 miliony klamek okiennych i 300 tys. drzwiowych. Zakład ciągle się rozwija. W 2009 r. rozpoczęto budowę nowej hali odlewni ciśnieniowej i anodowni oraz magazynu głównego. W ubiegłym roku oddano do użytku centralny magazyn wysokiego składowania. Te działania powodują, że pomimo silnej konkurencji na rynku firma patrzy optymistycznie w przyszłość.

„Za wierność tradycji”

Firma

Rzeźnictwo-Wędliniarstwo Zbigniewa Domagały z Turwi

Jest to zakład z tradycjami, który działa od stu lat. Założył go dziadek obecnego właściciela Tomasz Domagała, przejął jego syn Kazimierz, który z kolei przekazał go swojemu synowi Zbigniewowi. Obecnie firma zatrudnia 45 pracowników. Zbigniew Domagała, po jej przejściu utworzył nowoczesną ubojnię, chłodnię, magazyny wędlin, w ostatnich latach dobudował wędzarnię. 150 gatunków wyrobów produkuje się w tradycyjny sposób z wykorzystaniem dobrych, sprawdzonych receptur, przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Produkty te są dostępne w sklepach m.in. w Turwi, Czempiniu, Kościanie i Poznaniu. Szczególną popularnością

cieszy się przysmak szynka w kaszy, ale smakosze cenią sobie także szynkę staropolską, kielbasy białą i śląską oraz golonkę. Za swoje wyroby firma otrzymała wiele nagród, m.in.: pierwszą nagrodę w konkursie „Sposób na sukces”, zorganizowanym przez Oddział Wielkopolskiego Ośrodka Doradztwa Rolniczego w Lesznie; za wspomnianą szynkę w kaszy przyznano jej tytuł „Polski Producent Żywności 2005”; firma otrzymała także honorowy medal „Verba Docent – Exempla trahunt” oraz tytuł i statuetkę „Wzorowy Producent Żywności”.

„Za pióro”

Piotr Paweł Bielicki z Kościana

Starszy brygadier w stanie spoczynku. Strażak i pedagog, instruktor harcerski. Wychował rzeszę strażaków zawodowych i ochotniczych. Był strażakiem zawodowym w Powiatowej Komendzie Straży Pożarnych w Kutnie, Ośrodku Szkolenia Pożarniczego w Piotrkowie Trybunalskim i Kościanie; w latach 1992-1995 był zastępcą komendanta w Szkole Aspirantów PSP w Krakowie, następnie zastępcą komendanta wojewódzkiego PSP w Wałbrzychu. Od połowy 1997 r. w stanie spoczynku. Autor bądź współautor około 200 publikacji i opracowań w tym 27 książek najczęściej o charakterze podręcznikowym z zakresu dydaktyki zawodowej, psychologii działań ratowniczych, taktyki gaszenia pożarów i historii ochrony przeciwpożarowej. Swój dorobek naukowy prezentował m.in. na międzynarodowych konferencjach historyków oświaty i wychowania, ogólnopolskich forach zajmujących się problematyką ratownictwa, sympozjach pedagogicznych itp. Piotr Bielicki jest współtwórcą serii wydawniczych: „Biblioteka szkolna” i „Biblioteka strażaka ochotnika”. Współpracował z pismami branżowymi: warszawskimi „Przegląd Pożarniczy” i „Strażak”, krakowskim „Magazynem 998” i katowickim „W Akcji”. W latach 1990-1996 pozostawał członkiem rady redakcyjnej, był zastępcą redaktora naczelnego specjalistycznego magazynu „Zagrożenia”, który ukazy-

wał się w Gdańsku w latach 1996-2000. Obecnie jest członkiem i instruktorem OSP w Kościanie.

„Za regionalizm”

Teresa Wiśniewska z Racotu

Pedagog. Ukończyła filologię polską na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu. Była nauczycielką w Kamieńcu i Racocie, gdzie następnie została wicedyrektorką i dyrektorką szkoły podstawowej. Z jej inicjatywy rozbudowano Zbiórca Szkołę Podstawową w Racocie. W 2001 r. została wybrana radną Rady Powiatu w Kościanie. Jest autorką i współautorką książek historycznych o Ziemi Kościańskiej. W 2004 r. ukazały się „Dzieje szkoły w Racocie”, których jest współautorką. Dwa lata później opublikowała monografię „Gryźyna. Dzieje wsi wielkopolskiej”. Jej ostatnim dziełem jest obszerna monografia „Racot. Perła wielkopolskiej wsi”, wydana w 2010 r. Należy do Stowarzyszenia Autorów Polskich.

Ponadto, po raz XVII redakcja przyznała wyróżnienie za działalność samorządową

„Dobry Gospodarz”

Michał Jurga burmistrz miasta Kościana

Znana to postać w Wielkopolsce. Magister historii – absolwent Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu był nauczycielem i dyrektorem Zespołu Szkół Zawodowych w Kościanie, wicekuratorem oświaty w Lesznie, wicestarostą w Kościanie. Długoletni radny miejski i działacz samorządowy. Cieszy się w Kościanie dużym autorytetem. Urząd burmistrza sprawuje po raz drugi. Jest inicjatorem koncepcji przywracania miastu dawnej świetności. Korzystając z poparcia radnych podjął trudny, przez wiele lat odkładany, problem rewaloryzacji Parku Miejskiego. Znany z troski o historyczne tradycje Ziemi Kościańskiej. Jest współtwórcą i przewodniczącym powiatowego zespołu ochrony pomników walki i męczeństwa w Kościanie.

(t.m.)

Jaskółczy niepokój poety

Ukazał się najnowszy tomik poetycki „Cud prawdziwy”
poety i tłumacza literatury i poezji niemieckiej Eugeniusza Wachowiaka.

17 maja 2011 r.

w kameralnej salce na drugim piętrze muzeum Kraszewskiego w Poznaniu królowała poezja. Nowy tomik przekładów „Cud prawdziwy. Almanach” zaprezentował Eugeniusz Wachowiak. W tomiku dominują przekłady poezji poetów niemieckich wcześniej tłumaczonych i publikowanych, obok nich pierwodruk „Tańca śmierci” Friedricha Schulta (ten przekład ukazuje się po raz pierwszy) i wiersz „Prośba o pojednanie”. Wydanie jest bibliofilskie; wydano sto sygnowanych przez autora egzemplarzy. Spotkanie poprowadził syn autora, również poeta

i krytyk literacki, Sergiusz Sterna Wachowiak, który powiedział m.in.:

– To jest tomik szczególny, nieczęsto zdarza się, by książka poetycka zawierała tak silny wątek przemijania i śmierci. Na różne sposoby te wiersze zwracają się w stronę śmierci, tajemnicy, trwogi, niepewności, bojaźni, drżenia jak mówił Søren Kierkegaard, ale zarazem nadziei, przechodząc od osobistego przesłania poety do tytułowego cudu prawdziwego zainspirowanego wierszem Jana Lechońia, który książkę zamyka. Już w najwcześniejszych wierszach Eugeniusza Wachowiaka pojawia się motyw przeżycia istnieniem czy łagodniej – eg-

zystencjalnego, jaskółczego niepokoju, który towarzyszy tej poezji od tomu „Afryka poety”.

– Po raz pierwszy tak dużo dobrych słów usłyszałem o sobie z ust mojego pierworodnego i bardzo mu za to dziękuję. Zobowiązuję się wobec państwa do tego, że jeżeli on za pół wieku jeszcze będzie mówił tak o mnie, to będę mu jeszcze bardziej wdzięczny, czy to z góry, z niebios, czy z czeluści piekieł – obojętnie gdzie będę – zażartował poeta.

Po krótkim wprowadzeniu ojciec i syn przystąpili do czytania wierszy. Przejmujące były strofy „Tańca śmierci” Friedricha Schulta.

„NIE obawiajcie się klepsydry ani kosi,
Z jednego one pnia, z żebra Adama,
Już od kołyski sypiacie we dwoje,
Ty przecież sam i ona sama”.



Dwaj poeci: Eugeniusz Wachowiak (z lewej) z Tadeuszem Żukowskim

Fot. Teresa Masłowska

Eugeniusz Wachowiak urodził się w Lesznie. W latach okupacji chodził tam do niemieckiej szkoły, w której biegle opanował język niemiecki. Należał do kolejowej drużyny harcerskiej „Siódemka” w Lesznie. Z wykształcenia księgowy, w połowie lat 50. odkrył w sobie poetę. Debiutował wierszem „Wieczorna orka”. Jego tomiki poetyckie to m.in.: „Cienie przechodzą długie”, „Korniki dnia”, „Medalion studzienny”, „Woda dla dropia”, „Wolności dla nas idzie czas 1918/19”. Należał do poznańskiej grupy poetyckiej „Wierzbak”. W 1960 r. ukazał się jego pierwszy przekład – wiersz „Zjadłem tuńczyka” Armina Müllera o amerykańskich próbach z bronią jądrową. Eugeniusz Wachowiak publikował wiersze i przekłady w wielu pismach: „Wiadomości Kościańskie”, „Nurt”, „Poezja”, „Życie Literackie”, „Współczesność”. Jest m.in. laureatem nagrody „Wiadomości Kościańskich” za nieprzeciętność, którą otrzymał w 1998 roku. (tm)

„Wiersze to moja spowiedź”

Z wielkopolskim poetą i tłumaczem Eugeniuszem Wachowiakiem rozmawia Teresa Masłowska

W młodości prawie każdy pisze wiersze, ale później tylko nielicznym towarzyszy muza poezji. Pan nadal pisze wiersze – po co?

– Bo widocznie zostałem do tego powołany. Ja naprawdę nie wiem, dlaczego akurat wiersze. Myślę, że wyrażają one moje i nie tylko moje, ale i moich bliźnich uczucia, niepokoje, rozterki, wątpliwość. Wiersze to moja spowiedź, dlatego kiedykolwiek je czytam, znów je przeżywam, i to bardzo głęboko. Moja poezja nie jest poezją filozoficzną, wynikającą z odczytania i, dzięki pewnej wyuczonyj sprawności, gładko zapisaną. Oczywiście, że samo tak zwane natchnienie to nie wszystko. Bardzo młodzi ludzie wyrażają w swoich próbach poetyckich zachwyty, porywy serca, ale to wystarcza na krótko i rzadko wykluwa się z tego ktoś, kto wkroczy na trudną dożywną drogę poety.

Zatem czego poeta potrzebuje poza natchnieniem?

Prócz owego „natchnienia” konieczne jest poszerzanie wiedzy, i to z różnych dziedzin, gdyż samo wyrażanie uczuć nie wystarcza. Ale dlaczego piszę, tego nie wiem. To jest tak, że pragniemy pozyskać względy tej a nie innej dziewczyny, chociaż istnieją również inne i równie atrakcyjne dziewczyny, a my pałamy uczuciem właśnie do tej jednej. Dzisiaj naukowcy tłumaczą to również chemią. Może zatem potrafią oni również wyjaśnić chemicznie mój i innych poetów przypadek. I jeszcze jedno. Nigdy nie pisałem wierszy miłosnych, ponoć dlatego, że znalazłem to, czego, a raczej kogo bardzo pragnąłem.



Eugeniusz Wachowiak – poeta i tłumacz

Fot. ze zbiorów poety

Co jest najważniejsze w poezji?

– Szczerłość i autentyczność. Przytoczę tu słowa błogosławionego Jana Pawła Wielkiego: „Nie ma sztuki tam, gdzie dzieło nie wzrusza”, oraz to, iż „Pierwszym zadaniem kultury jest wychowanie człowieka”. Te wskazania staram się spełniać.

Ma pan na koncie wybitne osiągnięcia w dziedzinie przekładów poetów i pisarzy niemieckich.

– Opublikowałem w oddzielnych tomach wiersze Else Lasker-Schüler, Johanna Poethena, Volkera Brauna, Johanna Bobrowskiego. Ale proszę wziąć pod uwagę, że decydujący wpływ na publikację oddzielnego tomu wierszy ma wydawca, nie zaś tłumacz. Mam jeszcze w zanadrzu książki poetyckie Ilse Tielsch, Armina Müllera oraz poszerzone wydanie poezji genialnego poety Johanna Bobrowskiego, no ale właśnie gros moich poetyckich przekładów znajduje się w antologiach, almanachach, w czasopiśmie literackich.

Mówi się, że tłumacz musi nie tylko świetnie władać językiem, ale sam powinien posiadać literackie umiejętności, by oddać zawiloci literackiego oryginału. Twórczość którego autora przysporzyła panu najwięcej kłopotów?

– Nie ma w zasadzie prozy łatwej do tłumaczenia. W każdej powieści tłumacz trafia na podłoże trudne, które musi cierpliwie i mozolnie zdobywać, aby można było z niego ukształtować fundamenty. Są to czasem zagadnienia związane z psychiatrią, z lotnictwem czy chociażby ze sportem kręglarskim. Kazimiera Hłakowiczówna, tłumacząc Annę Kareninę Lwa Tołstoja, poszła na stację, by porozmawiać z maszynistą PKP. Proszę mi wierzyć, że autor pisze o tym, czego jest w pełni świadom, natomiast tłumacz musi często przedzierać się przez gąszcz, aby podążyć tropem myśli autora, aby go nie zawieść. Pomijam tu budowę składni stylistycznej, bo to również trudny problem. Ktoś powiedział, że polski czytelnik czyta właściwie książkę na przykład Stanisława Barańczaka, mimo iż autorem oryginału jest pisarz czy poeta anglojęzyczny. A konkretna odpowiedź na pani

pytanie? Chyba najtrudniejszą dla mnie powieścią był Aleksander März Heinara Kippharda, ale też stała się ta powieść bestsellerem. Nie ze względu na tłumacza, tylko ze względu na jej fabułę.

Jako czytelnik i miłośnik literatury, których pisarzy i poetów polskich i niemieckich najbardziej Pan ceni?

– Odpowiedzi na to pytanie mogłoby udzielić krytycy, którzy mniej lub bardziej słusznie przypisują poecie antenatów. Spod mojego pióra wyszło grubo ponad siedemset utworów własnych oraz około dwóch tysięcy przekładów wierszy poetów niemieckiego obszaru językowego. Na poetycką drogę bodajże w roku 1952 „pobłogosławił” mnie Stanisław Czernik, poeta, który preferował w poezji twórczość, którą on nazwał „autentyzmem”. I chyba moje wiersze jeszcze sprzed debiutu w 1954 roku nieśmiało się w ten kierunek wpisywały. Ale, by odpowiedzieć bliżej na pani pytanie, wyznam, że upodobałem sobie Bolesława Leśmiana, Józefa Czechowicza oraz Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, a z poetów niemieckojęzycznych Else Lasker-Schüler, Paula Celana, Johanna Poethena, Johanna Bobrowskiego. Oni mnie inspirowali i czułem ich powinowactwo. To wspominałem, jeśli można znaleźć coś bliskiego także w języku obcym.

Jakie są pana plany twórcze?

– Zważywszy na pokłady tego, co zalega w gotowych do opublikowania rękopisach czy maszynopisach, byłbym rad, gdyby prace pochłaniające miesiące trudu ujrzały światło dzienne. Mam również zamiar opublikować zapisy refleksyjne, które poczynając od 1995 roku ukazywały się w „Wiadomościach Kościańskich” i zostały uhonorowane przez wydawcę nagrodą „Za nieprzeciętność”, którą sobie równie wysoko cenię, jak przyznane mi przez ministra kultury odznaczenie „Gloria Artis”. Plany twórcze dziedziczą wprawdzie w innym mentalnym ujęciu, i to jest prawidłowość, syn Sergiusz Sterna-Wachowiak oraz wnuczek Mateusz Marczewski i wnuczka Bianka Pawelczyk, córka Sergiusza; ci ostatni z publikacjami w Wydawnictwie „Czarne” Andrzeja Stasiuka oraz w „Księgarni św. Wojciecha”.

A plany przekładowe?

– Te są niekiedy inspirowane przez autorów i tak jest z powieścią Rainera Wochele Generał i kłown o rozterkach dowódcy „błękitnych hełmów”, którzy z uwagi na brak zgody ONZ na użycie broni byli beczczynnymi – poza argumentacją słowną – świadkami makabrycznego ludobójstwa na setkach tysięcy Tutsi, które dokonało się na oczach świata w 1994 roku w Ruandzie. Tłumaczenie tej powieści, której akcję przeżywał również tłumacz, zakończyłem w pierwszej dekadzie maja bieżącego roku.

Urodził się pan w Lesznie, przez pewien czas mieszkał we Wschowie, a co pana łączy z Kościanem?

– Z samym miastem, poza okolicznościowymi pobytami, na przykład na uroczystościach żałobnych po śmierci Adama Tomaszewskiego, niestety nic, natomiast moje i żony korzenie wiążą się z Ziemią Kościańską. Otóż mój dziadek mieszkał i pracował w majątku Skarżyńskich w Chełkowie. Maciej Sterna, o którym kilkakrotnie publikowałem w piśmie, które pani reprezentuje, stał się ikoną mojego życia. Matka moja, jego najstarsza córka, przebywała między innymi w folwarku Polesie, gdzie poznał ją mój przyszły ojciec, tamtejszy ogrodnik Franciszek, i ślubowali sobie w Wonieściu. Babci Rozalii nie dane było mi poznać, bo odeszła do Pana tuż po moim urodzeniu. W Chełkowie spędzałem przed wojną jako dzieciak szczęśliwe wakacje. Szkoda, że dziadek Maciej nie dożył tego, iż jego prawnuk Sergiusz przyjął jako człon uzupełniający literackie nazwisko dopisek „Sterna”, który trafił z Sergiuszem również na Zamek Królewski w Warszawie. A więc Sterna został przeniesiony duchem z Chełkowa, stolicy mojego dzieciństwa, do stolicy wszystkich Polaków. Opatrzność to czy przeznaczenie? A może jedno i drugie. Matka Sergiusza i jego rodzeństwa bywała na wakacjach u swojej babci Ziebeilowej w Reńsku, a więc także na Ziemi Kościańskiej, i Reńsko nie opuszcza jej we wspomnieniach. Zatem obojeśmy z tej samej ojcowizny.

TERESA MASŁOWSKA

„Higieniści” w Kościanie

Po Warszawie, Wrocławiu, Poznaniu i Ostrowie Maciej Zaremba Bielawski promował w Kościanie swoją nową książkę pt. „Higieniści – z dziejów eugeniki”. Organizatorami spotkania z tym wybitnym szwedzkim dziennikarzem polskiego pochodzenia, które odbyło się 20 maja 2011 roku, byli warszawskie Wydawnictwo Czarne, Miejska Biblioteka Publiczna im. Adama Tomaszewskiego w Kościanie oraz redakcja „Wiadomości Kościańskich”.

Maciej Zaremba jest synem długoletniego dyrektora Krajowego Zakładu Psychiatrycznego i Sanatorium dla Nerwowo Chorych w Kościanie dra med. Oskara Bielawskiego. Urodził się w Poznaniu w 1951 roku, w 1969 roku wyemigrował z matką i braćmi do Szwecji, ożenił się z pisarką Agnet Pleijel, jest czołowym publicystą największego dziennika szwedzkiego „Dagens Nyheter” oraz autorem słynnego zbioru reportaży pt. „Polski hydraulik”. Spotkanie rozpoczęła dyrektorka biblioteki Jadwiga Gidel, a prowadził red. Jerzy Zielonka. Rozmawiano o problemach eugeniki, a także o kościańskich drogach Bielawskich. Właściciel Biura Rachunkowego Jerzy Szyguła wręczył Maciejowi Zarembie egzemplarz wznowionego przez siebie i przez dra Dariusza Urbańskiego przedwojennego informatora pt. „Szpital dla Nerwowo i Psychicznie Chorych w Kościanie. Obszerne sprawozdanie z promocji, pióra red. Kariny Jankowskiej, zamieściła „Gazeta Kościańska”.

*

„Higieniści” Macieja Zaremby Bielawskiego to książka oparta na cyklu esejów drukowanych w 1997 roku w prasie szwedzkiej; esejach, które wstrząsnęły światową opinią publiczną. Uświadamiały bowiem, że kierując się zasadami eugeniki w imię idei wyższości rasy w demokratycznym państwie szwedzkim do lat siedemdziesiątych XX wieku dzielono ludzi na mniej i więcej wartościowych oraz zmuszano tysiące obywateli do operacji, pozbawiających płodności. Artykuły Zaremby sprawiły, że rząd szwedzki powołał specjalną komisję i przyznał zadośćuczynienie ofiarom programu sterylizacji. Polska wersja „Higienistów” została wzbogacona o nowe eseje, dotyczące historii eugeniki m.in. Trzeciej Rzeszy, Stanów Zjednoczonych i Japonii; dwa rozdziały poświęcono polskim



Dyrektorka miejskiej biblioteki Jadwiga Gidel z autorem książki.

Fot. Teresa Masłowska.

zwolennikom i przeciwnikom badań eugenicznych, przy czym autor próbuje odpowiedzieć na pytanie dlaczego idea eugeniczna w Polsce nie wyszła poza sferę teoretycznych rozważań. „Higieniści” na polskim rynku książki okazali się bestsellerem i otrzymali wiele pozytywnych rekomendacji.

*

Prof. dr hab. Marian Safjan, sędzia Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości: „Książka Macieja Zaremby to wstrząsające świadectwo tego, jak idee

które kuszą racjonalnością i pozornym obiektywizmem języka naukowego, mogą prowadzić do szaleństw, nadużyć i zbrodni. Historia szwedzkich ustaw sterylizacyjnych jest godna przypomnienia może właśnie dlatego, że dotyczy społeczeństwa uważanego powszechnie za wzór demokratycznego standardu. Jest zarazem ostrzeżeniem: nigdzie i nigdy nie wolno bagatelizować zagrożeń, wynikających z odwiecznych marzeń i dążeń do tworzenia społeczeństwa „doskonałego”. To ostrzeżenia płynące z książki Zaremby pozostają nadal

aktualne i warto zdawać sobie sprawę z tego, że zawsze, kiedy rozpoczyna się dyskusja o pożądanej, uniwersalnej normie, której podporządkować należy wartość jednostki – powinniśmy włączać przycisk alarmowy”.

*

Pisarka Agnieszka Graff z Uniwersytetu Warszawskiego: „Maciej Zaremba z pasją i precyzją opisuje okrucieństwa dokonywane w Europie i Stanach Zjednoczonych w imię „higieny rasy”. Siłą tej książki polega na tym, że analizując motywacje katów, tropiąc kulturowe i polityczne źródła tej samej idei, Zaremba nigdy nie traci z oczu ofiar. Zmusza nas, byśmy poczuli to, co poczuli okaleczeni w imię idei zwykli ludzie. Eugeniczna przemoc państwa uderzała bezpośrednio w kobiety – bo to one stanowiły większość operowanych. Zdumiewa skala zjawiska (w Szwecji wysterylizowano 63 tys. osób, w Niemczech 350 tys.) i fakt, że ta nieludzka ideologia i praktyka przetrwała aż do lat siedemdziesiątych. Zadziwia też skala przemilczeń – dopiero w 1997 roku do szwedzkiej opinii publicznej dotarła wiadomość o masowych sterylizacjach osób „niepożądanych”. Człowiekiem, który to ujawnił i zmusił Szwedów do rozliczeń z historią był właśnie Maciej Zaremba”.

*

Ks. Adam Boniecki, długoletni redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego”: „Książka Macieja Zaremby jest przerażającą opowieścią o tym, jak przewrotna może być myśl ludzka. Program eliminacji „niepotrzebnych” jednostek nie był wynalazkiem Hitlera, tylko ostatecznym spełnieniem znacznie wcześniejszej myśli eugenicznej. W XIX i XX wieku tysiące ludzi padły ofiarą pseudonaukowej eugeniki motywowanej albo „dobrem” zainteresowanych (żał nam niewiedomego, bo nie widzi), albo „dobrem” społeczeństwa (nic nam z tych bytów, mamy tylko wydatki). „Różne zale – czy ten sam?” – pyta Autor. Ze zgrozy tej myśli można sobie dopiero zdać sprawę, wędrując z Zarembą od kraju do kraju, od ustawy do ustawy, wczytując się w argumentację rozmaitych obrońców „jakości życia”. Może kogoś zdziwi, że prawa sankcjonujące dyskryminację słabszych w wielu cywilizowanych krajach obowiązywały całkiem do niedawna”.

KATARZYNA ŻUREK

Wielki zjazd Domagałów

W sobotę 4 czerwca br. do Czacza i Kiełczewa licznie zjechała się rodzina Domagałów. Na wielopokoleniowym spotkaniu zjawili się 110 osób z powiatu kościańskiego i z różnych stron Polski. Nie zabrakło gości z zagranicy m.in. Anglii, Holandii i Stanów Zjednoczonych.

Zaczął się od fotografii z 1957 roku, która przedstawia seniorów rodu – Franciszkę i Andrzeja Domagałów z dziećmi. Zrobiono ją z okazji 50 rocznicy ślubu przed ich domem w Czaczu. Zdjęcie natchnęło trzy panie – organizatorki obecnej imprezy do podjęcia tego wątku.

– Podczas jednego z naszych wspólnych, „babskich” spotkań, zaczęłyśmy przeglądać stare rodzinne pamiątki i wtedy wpadło nam w ręce to właśnie zdjęcie – mówi Katarzyna Domagała – Szpilakowska. – Zaczęłyśmy odtwarzać historię naszej rodziny, rysować drzewo genealogiczne, odkrywać dawno zapomniane wątki i stwierdziłyśmy, iż nie możemy zapominać o naszych przodkach i w ogóle o rodzinie – dodaje.

– Chciałyśmy rodzinną przeszłość jakoś przekuć na rzeczywistość, na dzień dzisiejszy. W zabieganym życiu ciężko nam się spotkać w gronie najbliższych, nie mówiąc już o dalszej rodzinie – stwierdza Mirosława Kędzia. – Chciałybyśmy udowodnić i pokazać młodszym, iż warto kontynuować rodzinne tradycje, pielęgnować wielopokoleniowe więzi i wartości. Zebrać tak liczne grono osób nie było łatwo – konkluduje Beata Domagała.

Na fotografii z 1957 roku widoczni są zaciężni seniorzy – Franciszka i Andrzej. Urodzili się w latach 90. XIX wieku; Franciszka pochodziła z Olszewa, Andrzej z Czacza. Pobrali się z początkiem ubiegłego stulecia, zgodnie żyjąc, pro-

wadzili gospodarstwo rolne w Czaczu. Z tego związku zrodziło się siedmioro dzieci: Maria, Anna, Leon, Ludwik, Stefan, Władysław i Jan. To właśnie ich dzieci, wnuki i prawnuki spotkali się teraz, aby wspomnieć przodków i odnowić wzajemne kontakty. Niestety szósty z kolei syn – Andrzej zginął w czasie II wojny światowej. Prawdopodobnie poległ we wrześniu 1939 roku pod Kutnem, ale nie udało się dokładnie ustalić miejsca i daty jego śmierci. Uczestnicy spotkania pamiętali także o nim.

Najstarszą i najbardziej doświadczoną osobą była w tym gronie pani Janina Domagała, żona widocznego na starej fotografii, nieżyjącego już Ludwika. Wspomina, że Ludwik miał ciekawe i bogate w przygodzie życie – był ciekawym ludzi i świata. Podczas okupacji niemieckiej został wywieziony do Rzeszy, a dokładnie do Zagłębia Ruhry. Pracował jako robotnik przymusowy, początkowo w fabryce amunicji, następnie przy kopaniu umocnień ziemnych. Tam zachorował na tyfus, ale dzięki ogromnej chęci życia pokonał chorobę i rok po wojnie wrócił do Polski. Często wspominał okupację i moment, kiedy wyswobodzili ich Amerykanie, ja-ko jeden z najbardziej radosnych w jego życiu.

Czy śp. Ludwik bardzo by się zdziwił gdyby wiedział, że najmłodszym z grona uczestników zabawy jest jego prawnuk – niespełna roczny Franek Kędzia, posiadający też amerykańskie korzenie? Mama Franka jest



50. rocznica ślubu Franciszki i Andrzeja. Zdjęcie z 1957 roku, wykonane w Czczu.

Fot. archiwum rodzinne



Uczestnicy rodzinnego zjazdu w Kielczewie w 2011 roku.

Fot. R. Szajkowski

bowiem Amerykanką, od czterech lat mieszkającą w Polsce. Swoją przyszłość planuje właśnie tutaj, a na pytanie, co jej się podoba w naszym kraju odpowiada, że bliskie relacje i więzi rodzinne oraz kultywowanie tradycji.

Spotkanie rozpoczęła uroczysta msza święta w kościele w Czczu. Następnie goście przejechali do Kielczewa, gdzie w sali bankietowej restauracji „Złota kaczka”, przy tańcach i muzyce, bawili się

długo i radośnie. Nie zabrakło czasu na oglądanie prezentacji zgromadzonych zdjęć, wymianę wspomnień i doświadczeń oraz snucie marzeń i planów na przyszłe lata.

KATARZYNA ŻUREK

Spotkanie klanu Szymańskich

Rodzina Szymańskich spotkała się w Konojadzie na pierwszym rodzinnym zjeździe, w którym uczestniczyło kilkadziesiąt osób w wieku od kilku do 94 lat. Opowieści i wspomnienia nie miały końca. Były nawet tańce. O północy wszyscy rozjechali się do domów, obiecując sobie kolejne spotkanie za kilka lat.

W Konojadzie koło Kościana, 11 czerwca 2011 r. zebrał się członkowie rodziny Szymańskich. Spotkanie rozpoczęło od „najazdu” na stację kolejową w Sepnie.

– Początek naszej rodzinie dali Kacper Szymański i Maria z domu Walkowiak. Kilkanaście lat mieszkali w tym domu. Pradziadek Kacper był kolejarzem – kierownikiem zespołu torowego. Ludzie, którzy tam teraz mieszkają

są bardzo mili i wyrozumiali, pozwolili tak dużej grupie obejrzeć dom. Ich syn Walenty Szymański bardzo się wzruszył, kiedy w kuchni rozpoznał biały kredens, stół i krzesła rodziców. Pokazywał nam pokój na pięttrze, gdzie mieszkał z bratem Leonem, późniejszym nauczycielem – opowiada Mariola Bereżecka z Poznania.

Kacper i Maria Szymańscy mieli dwanaścioro dzieci. Wiek dorosłego doży-

ło ośmioro: Leon, Walenty, Jan, Stanisław, Stefania, Maria, Józef i Jadwiga. Żyje dwoje rodzeństwa: Walenty, który ma 94 lata i – jak ojciec – był kolejarzem w Oborzyskach Starych oraz organistą w tamtejszym kościele, a także dziewięćdziesięcioletnia Jadwiga. Seniorzy rodu poza Sepnem mieszkali także w Konojadzie i Puszczykówcu.

– Pradziadek umarł w końcu lat 50. ubiegłego wieku, został pochowany



Przed stacją kolejową w Sepnie, gdzie mieszkali pradiadkowie Szymańscy

Fot. Władysław Szymański



Pamiątkowe zdjęcie klanu Szymańskich

Fot. Władysław Szymański

na cmentarzu w Parzęczewie, prababcia Maria przeżyła go o kilka lat. Pamiętam jeszcze, jak mieszkała z nami w Poznaniu, opiekowała się mną, była bardzo kochana. Umarła w 1963 r., spoczywa na cmentarzu przy ulicy Bluszczowej w Poznaniu – mówi Mariola Berezicka.

W sobotę spotkały się cztery pokolenia klanu Szymańskich, na które składają się 133 osoby, z nich żyje 115. W zjeździe, który odbył się pierwszy raz, uczestniczyło kilkadziesiąt osób w wieku od kilku do 94 lat. Co ciekawe, nikt nie wyemigrował za granicę kraju ani nawet regionu, wszyscy zostali wierni Wielkopolsce, mieszkają m.in. w: Luboniu, Racocie, Poznaniu, Młynkowie koło Pniew, Ruchocicach, Kościanie, Czempiniu. Po obejrzeniu domu pradziadków udano się do Konojadu na uroczystą mszę świętą. Po czym uroczystość kontynuowano w pobliskiej remizie strażackiej. Dla łatwiejszego rozeznania kto jest kto, każda linia Szymańskich otrzymała kolorowy kotylion. Kolorów było osiem tyle, ile dzieci dochowali się Szymańscy. Mariola i Marek Berezecy przygotowali drzewo genealogiczne rodu.



Mariola i Marek Berezecy w tańcu

Fot. Władysław Szymański

– Z mężem pracowaliśmy przy tym od grudnia ubiegłego roku. Nie było to łatwe, szczególnie w przypadku kobiet, które po wyjściu za mąż zmieniły nazwisko. Ale udało się i z radością mogliśmy wręczyć każdemu wydruk. Ile było z tego radości! Właśnie młodzi analizowali koligacje rodzinne, dopytywali rodziców o szczegóły. I bardzo dobrze,

trzeba pytać rodziców, dziadków o ich przeszłość, kiedy jeszcze są wśród nas – przekonuje Berezicka.

Wspomnienia i opowieści nie miały końca. Były i tańce przy muzyce. O północy wszyscy z żalem pożegnali się i rozjechali do swoich domów przyrzekając sobie, że za kilka lat zorganizują kolejny zjazd klanu Szymańskich. (t.m)

Dzienniki Macieja Morawskiego (VIII) Iwan od Wawrzyńca Czajki

Maciej Morawski, były korespondent paryski Radia Wolna Europa, rodem z Jurkowa, od lat systematycznie pisze dzienniki. Większość zapisków zdeponował w Bibliotece Polskiej w Paryżu. Ostatnio tradycyjne zeszyty poszły w ką, a Maciej Morawski zamienił pióro na klawiaturę komputera. Poniżej drukujemy ósmy odcinek wyjątków z dzienników pisanych w 2011 r. Czytać je można w całości na internetowej stronie: www.maciejmorawski.blox.pl

10 kwietnia

Ostatnio pytano mnie o wspomnienia z rodzinnego Jurkowa. Jesień i zimę spędzałem z rodzicami poza Jurkowem, najprzód w Poznaniu, potem w Warszawie. W Poznaniu rodzice mieszkali w willi dziadka na Chopina 4, który wtedy już tam nie mieszkał, dojeżdżał do stolicy Wielkopolski z niedalekiego Obiedzierza. Miał też pokoje z łazienką w hotelu „Continental”. Chodziłem do ochronki pani Posadzowej na Sołczu. Na Chopina zajmowały się mną jakieś panie oraz nasz wielki przyjaciel kamerdyner Stanisław Szczupski. Poza rodzicami mieszkali tam także moje siostry Basia i Magda. Bywało wielu gości, jak przez mgłę pamiętam Rogera Raczyńskiego, słynnego chirurga prof. Jurasza, wuja Pierre'a Potworowskiego, kapistę, który nawet przez pewien czas u nas mieszkał, dalej malarza pana Taranczewskiego, autora portretów moich sióstr. Bodajże pod koniec 1936 r. przenieśliśmy się do Warszawy. Najprzód mieszkaliśmy w Alei Róż u ciotki Dudy Potulickiej, później na Zimorowicza 4 rodzice wzięli duże mieszkanie. Zaczęłam chodzić do szkoły pani Sadowskiej na ulicy Filtrowej.

Ale miałem pisać o Jurkowie. Otóż spędzałem tam lipiec i sierpień. Latem dom często prowadziła siostra ojca ciotka Józinka Kicińska. Z nią przebywał tam jej mąż gen. Adam Kiciński, córki: Teresa (później Nowakowska) i Hanka

(później Romiszewska) oraz synowie Kazik, Jaś i Staszek. Pamiętam z tego okresu wiele osób z Jurkowa. Np. Jana Grzelkę, stangreta, Franciszka Prędkiego, mechanika i kierowcę, Helcię Baranowską itd. Rodzice – z racji innych zajęć – rzadko wpadali do Jurkowa. Jakże miły pan Jan Grzelka uczył mnie jeździć konno. Przypominam sobie teraz nieco innych jurkowskich rodzin i przyjaźni, jaka nas z nimi łączyła. Pamiętam naturalnie państwa Kaszkowiaków (ogrodnik), dalej rodziny Ratajczaków, Browarczyków. Pamiętam księdza proboszcza z Czerwonej Wsi i księdza dziekana Wesołowskiego z Krzywina. Gdy moje siostry były w Jurkowie, odwiedzało je tam wielu młodych ludzi, Dezik Chłapowski z Kopaczewa, Witold Wańkowicz, Staś Szuch, Dominik Morawski, Zdziś Goździałkowski...

Ogólną pieczę nad majątkiem pełnił wuj Krzysztof Morawski z Turwi, człowiek o wielkiej inteligencji i świetny gospodarz. Rządząc był w pewnym okresie miły pan Czapiewski. Do Jurkowa zapraszano gości w moim wieku, np. Wosia Morawskiego z Poznania (brata Dominika). Okupacja niemiecka całkowicie oddzieliła nas od Jurkowa. Jednak otrzymywałem stamtąd listy, niektóre z nich zawierały banknoty kilkumarkowe w podarunku, np. na imieniny. O ile pamiętam, takie podarunki przysyłała mi np. pani Kaszkowiakowa.

Na kilka tygodni wróciłem do Jurkowa z matką i Jasiem Kicińskim w marcu 45. Ale reforma rolna zmusiła nas do przeniesienia się do pobliskiego Polesia, gospodarstwa należącego do mojej matki i zbyt małego, by podlegać reformie rolnej. Udało się to chyba tylko dzięki temu, że starostą w Kościanie był wówczas mecenas Karol Fiszbach (narodowiec), że w całym powiecie rządzący byli AK-owcy, kierujący nawet PPR-em i PPS-em. Jerzy Zielonka, znakomity historyk ziemi kościańskiej, dobrze zna tę sprawę. Przygotowuje książkę pt.: „Kościan 45-48, AK-owska wyspa na Morzu Czerwonym”. Już w Jurkowie, później na Polesiu toczyły się zażarte dyskusje. Mój cioteczny brat Jaś Kiciński i kilku jego przyjaciół byli zwolennikami walki zbrojnej z reżimem. Matka i ja uważaliśmy, że dosyć przelanej krwi, że trzeba ratować, co się da. Tolerowany wówczas w Kościanie mój wuj Krzysztof Morawski, były oficer AK, także tłumaczył Jasiowi Kicińskiemu – „na studia a nie do lasu”. Dodam, że kościańskich AK-owców reżim pozbawił władzy, wyrzucił na bruk, w ramach strasznej czystki, jesienią 1948. Co do tego pierwszego okresu, to ojciec, który wówczas dostawał listy z naszych rodzinnych stron, w jednej ze swych książek opowiadał, że gdzieś w Kościańskim, wyznaczony na szefa lokalnej komórki PPR-u, ▶

dawny władca otwierał zebranie słowami: „Witajcie towarzysze, niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Tak, to był dziwny okres, partyjni dygnitarze – widocznie na polecenie z góry – brali jeszcze wówczas udział w procesjach.

Naturalnie po 1989 r. zacząłem przyjeżdżać do Jurkowa. Przyjmowano mnie tam niezwykle miło. Chęć tu złożyć specjalny hołd pani Konstancji Chrastek, córce Jana Grzelki, która otacza opieką jurkowską kaplicę i jej cudowny obraz Najświętszej Marii Panny, Matki Boskiej Pojednania Narodowego. Spotykam w Jurkowie nieco przyjaciół z dawnych lat, wszystkich nazwisk nie pamiętam, wszak starzeję się. Widuję tam też np. sympatycznych państwa Nowaków. Rzecz jasna zawsze odwiedzam też Krzywiń, gdzie mam tytuł przyjaciół, gdzie działa świetny zespół szkół ponadgimnazjalnych im. mego ojca.

16 kwietnia

Wczoraj minęło piętnaście lat od śmierci w Londynie ks. Tadeusza Kirschke. Ów kapłan urodzony w 1908 r. w moim rodzinnym Poznaniu, był uczniem słynnego gimnazjum świętej Marii Magdaleny, następnie ukończył seminarium i został wysłany do Francji. W czasie II wojny światowej był kapłanem w jednej z jednostek WP w tym kraju. Trafił do niewoli. Znalazł się w oflagu w Murnau. Jako duszpasterz odwiedzał inne obozy. Niemcy złapali go na przewożeniu poczty obozowego podziemia. Wysłano go do obozu koncentracyjnego. Miał być rozstrzelany, lecz obóz wyzwolili Amerykanie. Via Włochy (II korpus Andersa) trafił do Anglii. W okresie 1948-1952 był polskim duszpasterzem akademickim w Londynie. W 1952 roku rozpoczął pracę w Monachium w RWE. Z początku audycje religijne w naszym radiu nadawał ojciec Józef Bocheński OP, jednak później ksiądz Kirschke został naszym kapłanem. Jego kazania, wygłaszane w kościele św. Barbary w Monachium stały się słynne w całej Polsce. Mocnym echem odbiły się też w kraju jego audycje po aresztowaniu prymasa oraz jego obrona biskupów polskich, ostro atakowanych przez media PRL za ich słynny list do biskupów Niemiec. Wielką umiejętność w przedstawianiu prawdziwego stanu rzeczy wykazał ksiądz Kirschke w okresie soborowym.

Umiał właściwie i ostro przeciwstawiać się propagandowej akcji reżimu, prowadzonej pod hasłem: „Dobry papież i sobór, a zły polski prymas i polscy biskupi”.

Ksiądz Kirschke zaliczał się w Monachium do grona najbardziej zaufanych przyjaciół Jana Nowaka. Odgrywał pozytywną rolę w zespole, umiał rozładowywać napięcia. Później, już w Londynie, będąc na emeryturze, utrzymywał kontakt z naszym tamtejszym biurem. Przez pewien czas sporo stamtąd nadawał. Szybko jednak poważnie zapadł na zdrowiu (choroba Parkinsona). Warto wiedzieć, że papież Pius XII mianował ks. Kirschke prałatem. Ten jednak takiego tytułu nie chciał używać. Mawiał: „Jestem kapłanem”. Ks. Tadeusz był wiernym synem ziemi wielkopolskiej, miał typowe dla tamtych stron umiar i pracowitość. Prochy jego leżą w Poznaniu na cmentarzu miłostowskim.

1 maja

Dzień dzisiejszy mija pod znakiem beatyfikacji Jana Pawła II. Środki masowego przekazu oczywiście i tu poświęcają tej podniosłej ceremonii moc uwagi! Stwierdzą, że ta beatyfikacja Papieża-Polaka wlewa i w me serce wiele radości! Obyśmy tylko wszyscy potrafili trzymać się wskazań Ojca Świętego. O wadze tego problemu ponoć mówił ostatnio w Radio Café Ks. Arcybiskup Henryk Hoser, wysoce inteligentny kapłan.

Wczoraj pisałem o jakże ważnej broszurze Stephane’a Hessela („Czas Oburzenia”). Dziś uwydatnię to, że za radą swej żony Marii, wybitnej humanistki, osoby o wielkiej energii i wiedzy, Piotr Witt wręcz błyskawicznie przełożył ten tekst na polski. Witt to były współpracownik biura paryskiego RWE (komentarze polityczne), słynny polskoparyski historyk sztuki, oraz pisarz (np. autor rewelacyjnej książki o Chopinie „Przedpiekle sławy”, o czym już pisałem w moim blogu).

Lech Wałęsa spędził dni 2 i 30 kwietnia w Tunezji. Podróż ta, jakże na czasie, była zorganizowana przez nasz MSZ. Wszak za 2 miesiące Polska obejmie przewodnictwo Unii Europejskiej, owej Unii dla której to, co zachodzi teraz w krajach arabskich ma wielką wagę! Wałęsa, jak tu pisać, zaznaczył w Tunisie, że rewolucje za-

chodzące w Afryce Północnej są pochodną polskiej rewolucji, która obaliła komunizm. Wałęsa, któremu towarzyszyła grupa wybitnych ekspertów (np. Aleksander Smolar), przedstawił Tunezyjczykom właściwą drogę wiodącą do odbudowania prawdziwie demokratycznego i zapewniającego sprawiedliwość społeczną państwa! Z kolei odnotuję, że niektórzy zachodnioeuropejscy działacze europejscy, np. niektórzy przywódcy ruchu La Fédération są zdania, że Lech Wałęsa winien zostać prezydentem Unii Europejskiej! Takie posunięcie, ich zdaniem, odbiłoby się b. pozytywnym echem w szerokich masach całego świata!

2 maja

A teraz inny temat. Pamiętam, że niegdyś w Kościanie zakłady Wawrzyńca Czajki produkowały znakomity „płynny owoc” Sana (można było nabyć nawet w Warszawie), likier ziołowy Iwan oraz wina mszalne. Czy coś zachowało się z tej tradycji? Owoców w Kościańskim nie brak. Kiedyś zastanawiałem się, czy gmina Krzywiń, która ma dobre kontakty z francuską Normandią, nie mogłaby produkować cydru (cidre) czyli jablecznika oraz calvadosu. Pytam jakże mi bliskiej tamtejszej prasy, jak ta sprawa wygląda? Kończąc dodam, że w XIX w. istniała w Jurkowie, na stoku przy Wymysłowie obszerna winnica, założona przez emigranta z Francji...

4 maja

W moim dzienniku z 2 maja pisałem o „płynnym owocu” – napoju produkowanym w Kościanie przez zakłady Pana Radcy Czajki. Dziś sobie przypomniałem, że mając lat 9, złożyłem kiedyś w Warszawie wizytę Ojcu w jego biurze w Ministerstwie Skarbu. Jedną ze współpracownic ojca (bodajże Pani Prądyńska) poczęstowała mnie w ten upalny dzień świetnym napojem. Ów napój, to był właśnie „płynny owoc” Pana Czajki. Zdumiałem się, że w Ministerstwie mają produkt z Kościana. Owa Pani oświadczyła mi, że chętnie gościom podają ten napój, bo jest najwyższej jakości. Pamiętam też nieco późniejszą rozmowę z ojcem, który stwierdzał, że produkty p. Czajki są wysokiej klasy.

WYBR. i OPRAC.
TERESA MASŁOWSKA



Maciej Morawski w Lesznie w 2007 r. na promocji „Łącznika z Paryża”.

Fot. Edward Baldys

Święto dymu i pary

W ostatni weekend kwietnia do Wolsztyna – niekwestionowanej stolicy kolei parowej – ściągają wielbiciele parowozów z całego świata. W tym roku paradowało siedem parowozów: cztery wolsztyńskie, dwa z Chabówki i jeden z Czech.



Od lewej: Jeremiasz Majorkowski, Jan Jacek Nikisch, Stanisław Majorkowski w Wolsztynie

Fot. Marcin Majorkowski

Święto pary, dymu i sadzy rozpoczęło się w piątek od nocnego pokaz w parowozowni, w którym lokomotywy odtańczyły swój taniec przy grze światła w takt muzyki. Fotografowie – amatorzy i profesjonalści mają wtedy używanie, mogą sprawdzić swój sprzęt fotograficzny, umiejętności i fantazję.

Gwoździem programu była sobotnia XVIII już Parada Parowozów. Przez ponad godzinę przed tysiącami zachwycanych widzów paradowały zabytkowe, stalowe kolosy. Na uroczyste otwarcie parady przy nastawni stawiły się PM36-2 i czeska 477 043. I zaczęło się. Maszyny kursowały w tę i z powrotem, osobno i w parach, na końcu przejechały wszystkie razem. Radości było co niemiara. Maszyniści, niektórzy odświętni w białych rękawiczkach, machali do oglądających gęsto ustawionych przy barierkach. Sadza sypała się na zadowolone głowy, powietrze przecinał przenikliwy gwizd

pedzących lokomotyw; w tym roku zakłócany, ku wściekłości nagrywających, przez helikopter, krążący nad dworcem i parowozownią. Ponoć najbardziej zagorzali miłośnicy parowozowni łapią dym do słoików, inni długo nie piorą koszul, na których osiadła sadza. Taka pamiątka z Wolsztyna, który jest już chyba ostatnim miejscem na ziemi, z którego codziennie wyjeżdżają rozkładowe pociągi prowadzone przez parowozy.

W tym roku organizator PKP Cargo może mówić o wyjątkowym pechu. Maszyn było tylko siedem. Niemcy bojąc się pożaru od kilku lat nie zezwalają na przejazd parowozów przez ich teren. Stąd nie dojechały ich trzy niemieckie lokomotywy. Na domiar złego zepsuł się tradycyjnie obecny w Wolsztynie najszybszy parowóz na świecie BR18 201, awarii uległy także pojazdy ze Słowacji i Węgier. W sumie wystąpiło siedem maszyn, z Wolsztyna Pt47-65 – pieszco-

tliwie zwana „Petuchą”, dwie „Oelki” i Pm36-2 czyli „Piękna Helena” po kapitalnym remoncie, gościnnie ze skansenu w Chabówce przyjechały Ty2-953 i Oll2-7 oraz jedyny zagranicznik – niebieski parowóz z Czech 477 043.

Ponad stuletnia wolsztyńska parowozownia tradycyjnie otworzyła podwoje dla zwiedzających. Można było zobaczyć lokomotywy nabierające wody i węgla na kanale, wjeżdżające przez obrotnicę do „szopy”. Bezcenne. Podobnie rozmowa z maszynistami, kolejarzami, czy niezastąpionym panem Wiesiem Jokielem, który o parowozowni wie wszystko. Jak zwykle najszcześniejsze były dzieci, które ochoczo gramoliły się na czoła parowozów, pozując rodzicom do pamiątkowych zdjęć. Po imprezie organizatorzy – wbrew pogłoskom o ostatniej już paradzie – zaprosili wszystkich na przyszły rok.

TERESA MASŁOWSKA

Młodość została w Kościanie

Byłem świetnie przygotowany do studiów. Dobrze znałem łacinę, francuski opanowałem w takim stopniu, że zwolniono mnie z lektoratów. Łaciny uczyła dwójka znakomitych filologów klasycznych państwo Kruszewscy. Na ich lekcjach tłumaczyliśmy Owidiusza, Horacego, Cyserona. Z kolei języka francuskiego uczyła wybitna pani profesor Anna Grątkowska, która była także naszą wychowawczynią – wspomina wybitny historyk mediewista prof. dr hab. Zbigniew Wielgosz w 60. rocznicę matury w kościańskim liceum.

Jestem z pokolenia, które przynależy bardziej do tamtego stulecia. To były interesujące czasy. Miałem zaledwie kilka lat, ale zapamiętałem śmierć i pogrzeb Marszałka Piłsudskiego. Potem okupacja. Ledwo skończyłem 12 lat, a już według niemieckiego porządku, musiałem iść do pracy. Nająłem się do pomocy w majątku w Słupi koło Stęszewa; oprzątałem konie i krowy. Później ponad 30 miesięcy zaliczono do mojego stażu pracy. Przed 1939 r. ojciec był nauczycielem w Słupi, tam też przetrwaliśmy wojnę. W 1945 r. zdałem egzamin wstępny i zacząłem naukę w liceum Paderewskiego w Poznaniu. Krótko potem ojciec przeniósł się do szkoły w Bieżyńniu, a ja do Gimnazjum i Liceum im. św. Stanisława Kostki w Kościanie.

Nadgonić stracony czas

Uczyliśmy się według dawnego programu; cztery lata trwało gimnazjum, dwa liceum. Wszystko w jednej szkole, co miało swoje dobre strony. Trzy lata przed maturą w 1948 roku w wyniku reformy szkolnictwa utworzono Państwową 11-letnią Szkołę Ogólnokształcącą. Ja jednak cenilem sobie poprzedni tryb nauki, chociaż trwała długo, a niektórzy mieli opóźnienie z powodu wojny. Dzisiaj nauczyciele z liceów narzekają, że młodzież przychodzi do nich dopiero po gimnazjum, mają ich „w rękach” zaledwie przez trzy lata. To czasem za krótko, by przerobić cały program nauczania.

W klasie było nas trzydziestu, ale z początkowego składu tylko dwóch zdawało

maturę w 1951 r., reszta porzuciła się do innych klas i szkół. Właśnie stworzono technika. Dyrektor Wybieralski, który potrafił być bezwzględny, przychodził do klasy i wskazywał palcem: – ty, ty i ty. Wyznaczeni uczniowie – czy im się to podobało czy nie – kontynuowali naukę w nieraz odległych miastach, np. w technikum w Skarżysku Kamiennej. To mnie niepokoiło, było niesprawiedliwe. Niejednemu koledze tą decyzją zламаł karierę. Równie despotycznie przydzielał do nauki języków obcych.

Chętnie się uczyliśmy. Wielu z nas wojna zabrała kilka lat nauki. W naszej klasie znaleźli się uczniowie z różnych roczników. Sam miałem 21 lat, kiedy zdawałem maturę. Kościańska szkoła wiele mnie nauczyła, bar-



Klasa II a w roku szkolnym 1947/48. Zbigniew Wielgosz siedzi drugi od prawej w drugim rzędzie.

Fot. Ze zbiorów Zbigniewa Wielgosza

do dobrze ją wspominam. Tak to już jest, że po latach szkołę ocenia się lepiej, ale doceniłem jej wysoki poziom już na studiach. Wykładowcy pytali mnie, której szkoły jestem absolwentem, skąd tyle umiem. Byłem naprawdę świetnie przygotowany do studiów. Dobrze znałem łacinę, francuski opanowałem w takim stopniu, że zwolniono mnie z lektoratów, co zresztą było błędem, bo traciłem kontakt z językiem.

Przedwojenna kadra

Łaciny uczyła dwójka znakomych filologów klasycznych państwo Kruszewscy. Na ich lekcjach tłumaczyliśmy Owidiusza, Horacego, Cycerona. Z kolei języka francuskiego uczyła wybitna pani profesor Anna Grątkowska, która była także naszą wychowawczynią. Wykształcona w Paryżu, nie tylko świetnie uczyła, ale także kładła nacisk na nasze wychowanie. Była bardzo dobrym człowiekiem. Później wspinałomyślnie ofiarowała miastu dom przy rynku. Po opuszczeniu szkoły z niektórymi profesorami zaprzyjaźniłem się. Przez lata utrzymywałem serdeczne kontakty. Mam nawet pocztówkę, którą otrzymałem od profesor Grątkowskiej. To dla mnie wielka pamiątka. Zachowałem wiele zeszytów, m.in. te z ocenami i podpisem pani profesor. Bardzo miłe wspominałem także profesor Ludmiłę Klaus. Chociaż – szczerze mówiąc – nie przejawiałem szczególnego talentu do matematyki. Profesor była jednak wyrozumiała dla – nie tylko moich – słabszych momentów.

Część grona pedagogicznego to byli jeszcze dobrzy przedwojenni nauczyciele. Wymagający, surowi, ale świetni pedagodzy. Poza profesorami Grątkowską, Kruszewskim i Iglowiczem, długoletnimi pracownikami byli historyk Maksymilian Sibilski, matematyczka Helena Tadeuszkówna, która potem uczyła w poznańskiej „Dąbrówce”.

Jak już wspominałem, po opuszczeniu murów szkolnych utrzymywałem serdeczne kontakty z profesorami. Chociażby z polonistą Janem Biechońskim. On był niesamowicie wymagający, czasem aż ogarniało nas przerażenie, szczególnie tych kolegów, którzy przyszli z zewnątrz i mieli pewne braki w nauce. Krótco przed maturą potrafił trzasnąć zeszytami o stół i wyrzucić nas z klasy. Ale potem dostałem się na uniwersytet i moje notowania u niego wzrosły. Kiedy w 1966 r. na Tysiąclecie Państwa Polskiego przygotowywał publikację, przysłał mi ją – swojemu dawnemu uczniowi – do przeczytania.

Wybitny rocznik

Okolo 90 proc. uczniów z klasy ukończyło studia wyższe. Z naszego grona wyszło kilku znakomych ekonomistów, inżynierów, lekarzy, matematyków, za to chyba nikt nie poszedł na prawo. Wybitnymi matematykami byli inżynier Leszek Szymanowski, profesor Uniwersytetu Śląskiego Stanisław Kubiak, dalej Waław Grzemski, Łucja Pawlak. Profesorem Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu został Tadeusz Mendel. Znakomitym lekarzem był – niedawno zmarły – profesor Uniwersytetu Medycznego Eugeniusz Gryś. W gronie psychiatrów znaleźli się: Mieczysław Buxakowski, założyciel ośrodka lecze-

nia uzależnień, bodajże w Namysłowie, Hanna Skawińska-Wieczorek, w kościańskim Sanatorium pracował kolega Łucjan Grząślewicz, dobrym lekarzem był Józef Rybczyński, a świetną farmaceutką Danusia Skrzypek. Z kościańskiej szkoły wyszła grupa wspinających polonistów: doktor Zbigniew Bąk, znakomity krytyk filmowy Kazimierz Młynarz, znany z łamów „Głosu Wielkopolskiego” i redaktor naczelny miesięcznika społeczno-kulturalnego „Nurt” i wielu innych. Część poszła w nauczanie; pracowali w szkolnictwie średnim i podstawowym, osiągając wybitne wyniki.

Mieszkałem w internacie oraz na stacji przy Placu Wolności. Miałem

wielu kolegów, ze wszystkimi starałem się dobrze żyć. Po ukończeniu liceum spotykałem się z wieloma z nich, m.in. z Młynarzem, Buxakowskim i Grysem.

Marksizm bez nadgorliwości

Lata nauki 1945-1951 przypadły na okres stalinowski. Z perspektywy różnie ocenia się ten okres. Zaraz po wojnie wszystko się zmieniło; granice, ustrój, poglądy, ludzie się zmieniali. Często nie uświadamialiśmy sobie, co i jakim językiem do nas mówiono, czy to było dobre czy złe. Do pewnych spraw podchodziliśmy nawet z entuzjazmem. Dla młodych ludzi – zwłaszcza ze wsi – możliwość kształcenia się sta-

nowiła niebywałą perspektywę awansu społecznego. Wielu uczniów ze wsi dojeżdżało ze mną koleją do szkoły, wystarczy popatrzeć na dawne zdjęcia. Należy to rozumieć i niektóre rzeczy docenić. Zasadą szkoły było także to, że dostarczała nie tylko wiedzę, ale również kształtowała nasze umysły, charaktery, postawy społeczne.

Kościańska szkoła – przynajmniej do 1951 r. – nie była rozsądnikiem ideologii komunistycznej. Profesorowie formalnie akceptowali istniejącą sytuację, lecz nie byli gorliwi we wpajaniu marksistowskiej ideologii. Prefekci ciągle jeszcze uczyli w szkole religii. Pamiętam księżę Feliksa Abramowi-

cza i Jana Ksyckiego, który prowadził nas aż do matury. Z tym ostatnim wiele razy spotykałem się, udzielał mi ślubu. Oczywiście pewne treści propagandy już wkraczały. Dzisiaj przeglądając zeszyty z polskiego widzę, ile biedny profesor Biechoński namęczył się przy omawianiu korespondencji Zofii Dzierżyńskiej lub przy powieściach typu „Jak hartowała się stal”. Historyk Sibilski mówił: – Przeczytajcie o komunistycznej partii ZSRR. Jednak nie przypominam sobie, byśmy na lekcji zajmowali się interpretacją tych tekstów, profesor nikogo też nie odpytywał z zadanego materiału. Zresztą podobnie było na uniwersytecie. Profesor Knapowski, kiedy kładziono nacisk na klasykizmu komunizmu, wygłosił pochwałę Fryderyka Engelsa, że świetnie znał grekę, że w swoich pracach powoływał się na starożytnie źródła.

Na maturze zdawaliśmy pisemnie język polski, matematykę. Ustnie język polski, historię, naukę o Polsce i świecie współczesnym oraz matematykę i fizykę. Wszystkie ustne zdawaliśmy jednego dnia, co było nieco męczące. W jednej sali siedzieli egzaminatorzy i podchodziliśmy od jednego stołu do drugiego. Na świadectwie maturalnym figuruje także ocena z religii. Kilku kolegom nie powiodło się. Wszyscy zdali następnego roku. Na szkolnych zjazdach zawsze są z nami.

Nie pamiętam, byśmy bawili się na studniówce. Ten zwyczaj jeszcze się wtedy nie przyjął. Byłem starostą klasy oraz przewodniczącym samorządu szkolnego. Starsze roczniki odchodziły, a do mnie należało wygłoszenie pożegnalnej mowy. Trochę się ich nażegnałem.

Byłem harcerzem drużyny im. Bolesława Chrobrego. Jeździliśmy na obozy do Sokolca w Góry Stołowe oraz w okolicy Paradyża i na tereny ziem zachodnich oraz nad morze do Ustki. Do szkoły z występami przyjeżdżali artyści, np. popularny wówczas znakomity śpiewak operowy Józef Prządka. Później lepiej go poznałem, z sentymentem wspominaliśmy jego kościańskie występy. Szkoła organizowała także wyjazdy do poznańskich teatrów i opery.

*

Z tamtej trzydziestki dzisiaj zostało nas piętnastu. Kościańskie dzieciństwo i szkołę pięknie opisał Adam Tomaszewski w powieści „Młodość została nad Obrą”. Moja młodość także tam została.

Spisała

TERESA MASŁOWSKA



Klasa II a na zjeździe po 20 latach.

Fot. Ze zbiorów Zbigniewa Wielgosza

Jedenastu wspaniałych (I)

Przełom maja i czerwca każdego roku to czas kwitnienia kasztanów i matur. Trwają od lat kwitnienia na kościańskich plantach tych przepięknych drzew i obrzęd uzyskiwania dojrzałości poświadczony odpowiednim dokumentem. To chwile, które wspominać się będzie niekiedy i cały życie. Wspomnijmy zatem dziś w osiemdziesiątą ósmą rocznicę pierwszą w dziejach Kościana maturę.

W roku 1922 utworzono w naszym mieście, po wielu latach starań, męskie ośmioklasowe gimnazjumklasyczne. W czerwcu 1923r. miała natomiast miejsce pierwsza matura. Egzamin pisemny obowiązywał z języków – polskiego, greckiego i łacińskiego. Z języka polskiego do wyboru był jeden z następujących trzech tematów: „Kochanowski i Mickiewicz jako przedstawiciele dwu pokoleń i dwu epok literackich w Polsce”, „Tragiczne i jasne chwile w dziejach Polski za panowania Stanisława Augusta Poniatowskiego” oraz „Dlaczego pracę zwiemy największym bogactwem narodów?”. Z łaciny natomiast należało przetłumaczyć na język łaciński fragment „Cezar zajmując Italię”, a z kolei z greki wymagane było przetłumaczenie na język polski Ksenofonta – Cyropedia ks. VIII cap. 7 §6 i 8. Z matematyki natomiast były do rozwiązania cztery zadania z materiału z dwóch ostatnich lat.

25 czerwca 1923 roku uzyskało w kościańskim Gimnazjum jedenastu absolwentów świadectwo dojrzałości. Samo wręczenie świadectw odbyło się nadzwyczaj uroczysto. Po Mszy św. w kościańskiej Farze jedenastu szczęśliwców z profesorami i przedstawicielami władz miejskich przy dźwiękach orkiestry dętej przemaszerowało do Szkoły Powszechnej (nazywanej w Kościanie „białą”) przy ul. Mickiewicza.

Tamwczasieuroczystejakademii kolejnoprzemawiali: dyrektorGimnazjumStanisław Chojecki, przedstawiciel Kuratorium Szkolnego, przedstawiciel Rady Miejskiej Kościana, burmistrz Stani-

slaw Koszewski, przedstawiciel Starosty Kościańskiego, w imieniu rodziców Józef Sylwester Ceptowski i jako reprezentant – najważniejszych tego dnia – absolwentów – syn tego ostatniego Józef Ceptowski. Po akademii Rada Miejska i Magistrat wydały w Ratuszu uroczysty wspólny obiad. Wieczorem natomiast miały miejsce występy artystyczne uczniów Gimnazjum. Przedstawiono m.in. scenę więzienną z III części Dziadów Mickiewicza.

Kim byli ówczesni absolwenci i jak potoczyły się ich dalsze życiowe losy. Przedstawmy je chociaż skrótowo w porządku alfabetycznym:

1.

Bąk Hieronim Stanisław (1902 – 1984)

Filolog klasyczny, nauczyciel, syn rolnika z Naclawia. Po maturze podjął studia na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Poznańskiego. Ukończył je po czterech latach. Studiując pracował jako nauczyciel. Od 1924 do 1927 w Szkole Powszechnej w Podarzewie i równocześnie w Szkole Powszechnej w Poznaniu znajdującej się przy ul. Głównej. Od 1927 do 1939 uczył najpierw w Państwowym Gimnazjum Męskim w Tarnowskich Górach, a następnie w Państwowym Gimnazjum Żeńskim w Tarnowskich Górach. W maju 1931, po pozytywnie zdanym egzaminie, uzyskał dyplom nauczyciela szkół średnich z filologii klasycznej, jako przedmiotu głównego i historii starożytnej, jako przedmiotu dodatkowego.

W czasie okupacji od 10 IX 1939 do 25 VIII 1940 był robotnikiem rolnym i leśnym w obozie pracy pod Węgorzewem. Od 26 VIII 1940 do 31 XII 1941 pracował w Poznaniu jako robotnik portowy, a od 1 I 1942 był przedstawicielem firmy zbożowo-handlowej w Poznaniu. Brał udział w tajnym nauczaniu. Aresztowany przez gestapo kilkanaście dni spędził w areszcie. Zwolniony został stamtąd na skutek interwencji duńskiego prokurenta firmy zbożowo-handlowej. Od 1945 podjął pracę jako nauczyciel w Państwowym Gimnazjum i Liceum im. Klaudyny Potockiej w Poznaniu. W latach sześćdziesiątych pracował jako nauczyciel w Liceum Ogólnokształcącym Nr I im. Karola Marcinkowskiego. 31 VIII 1970 przeszedł na emeryturę. Przez kilka lat uczył jeszcze, w niepełnym wymiarze godzin, w Liceum Ogólnokształcącym Nr I im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu. Zmarł 3 II 1984 w Poznaniu. Został pochowany na Cmentarzu Komunalnym na Miłostowie w Poznaniu.

2.

Bąk Zenon (1903 – 1984)

Filolog klasyczny. Syn rolnika z Kielcowa. Bepośrednio po maturze, w latach 1923-1927, studiował na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Poznańskiego, uzyskując absolutorium w zakresie języków staroklasycznych. W latach 1927 – 1931 uczył języka łacińskiego i greckiego w Gimnazjum

w Krotoszynie. Od lutego 1934 podjął pracę jako pracownik umysłowy w Zakładzie Ubezpieczeń na Życie w Poznaniu. Pracował w nim aż do wybuchu wojny.

W czasie okupacji przebywał w Poznaniu pracując w niemieckiej firmie ubezpieczeniowej. Po wyzwoleniu podjął pracę w Powszechnym Zakładzie Ubezpieczeń Wzajemnych w Poznaniu, a po jego reorganizacji w Państwowym Zakładzie Ubezpieczeń Zarząd Okręgowy w Poznaniu. Zmarł 6 czerwca 1984 w Poznaniu i został pochowany na Cmentarzu Komunalnym na Junikowie w Poznaniu.

3.

Ceptowski Józef Aleksander Bernard (1905 – 1997)

Lekarz, syn nauczyciela szkół powszechnych. Bezpośrednio po uzyskaniu świadectwa dojrzałości podjął studia na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Poznańskiego. 8 IV 1929 uzyskał dyplom doktora wszech nauk lekarskich. Jeszcze w czasie studiów pracował pod kierunkiem dr. Bolesława Olejniczaka w Szpitalu Św. Zofii w Kościanie. Po uzyskaniu dyplomu przez kilka miesięcy praktykował w Instytucie Laryngologii Lekarskiej w Poznaniu,

a następnie odbył trzyletnią specjalizację internistyczną, najpierw na Oddziale Chorób Wewnętrznych w Szpitalu w Bydgoszczy, a później w Klinice Wewnętrznej Szpitala Spółki Brackiej w Katowicach. W 1933 objął stanowisko lekarza powiatowego w Lubomlu na Wołyniu. Po odbyciu 6 miesięcznego kursu kwalifikacyjnego w Państwowej Szkole Higieny w Warszawie, w 1937 otrzymał nominację na stanowisko lekarza powiatowego we Wrześni w woj. poznańskim. Na tym stanowisku pracował aż do wybuchu wojny.

W grudniu 1939 wywieziony został przez okupanta do Kon-



Tę willę dawnego Krajowego Zakładu Psychiatrycznego, przed budową nowego gmachu, przeznaczono na klasy kościańskiego gimnazjum męskiego.
Fot. Teresa Masłowska

► pola. Po pewnym czasie przeniósł się do Krakowa, gdzie w latach 1941 – 1945 był lekarzem domowym Ubezpieczalni Społecznej w Krakowie (w rejonie Wola Duchacka), a także lekarzem przemysłowym „Fabryki Kabli”. W 1945 powrócił do Poznania. W latach 1945 – 1951 był Inspektorem Lekarskim do spraw Szpitalnictwa i Zastępcą Naczelnika Wojewódzkiego Wydziału Zdrowia w Poznaniu. W 1950 organizował Wydział Zdrowia Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Zielonej Górze. Na przełomie 1951/1952 reorganizował szpitalnictwo w województwie katowickim. W latach 1952 – 1970 był dyrektorem Wojewódzkiej i Miejskiej Stacji Pogotowia Ratunkowego w Poznaniu. Równocześnie w latach 1957 – 1959 był Inspektorem Pomocy Doraźnej na województwo poznańskie. 1 stycznia 1971 przeszedł na emeryturę. Uzyskał II stopień specjalizacji w zakresie organizacji ochrony zdrowia i w dziedzinie medycyny ogólnej. Prowadził ożywioną działalność w Poznańskiej Izbie Lekarskiej. Zmarł 23 stycznia 1997 w Poznaniu. Pochowany w Poznaniu na cmentarzu na Miłostowie.

4.

Donaj Stanisław (1905 – 1940)

Handlowiec, syn kupca i działacza samorządowego. Po maturze studiował w Wyższej Szkole Handlowej w Poznaniu. Studiów nie ukończył. Kierował majątkiem rolnym swego stryja Franciszka Donaja w Pogódkach koło Kościerzyny. 1 sierpnia 1928 został powołany do wojska. 15 czerwca 1929 ukończył dziesięciomiesięczny kurs w Szkole Podchorążych Rezerwy Piechoty nr 7 w Śremie. W latach trzydziestych czterokrotnie powoływany na kilkutygodniowe ćwiczenia do 55 poznańskiego pp w Lesznie. 1 stycznia 1933 mianowany podporucznikiem rezerwy w korpusie osobowym oficerów piechoty.

W kampanii wrześniowej walczył jako dowódca plutonu w batalionie Obrony Narodowej „Starogard”. W nieznanych okolicznościach dostał się do niewoli sowieckiej i został osadzony w obozie jenieckim w Kozielsku. Wiosną 1940 zamordowany w Lesie Katyńskim. Znajduje się na liście transportowej NKWD nr 059/1 z maja 1940.

5.

Igłowicz Bolesław Ludwik (1903 – 1996)

Profesor gimnazjalny, regionalista. Syn kupca. Jeszcze jako uczeń brał udział w Powstaniu Wielkopolskim i wojnie polsko-bolszewickiej 1920 roku. Po zakończeniu działań wojennych powrócił do Kościana i kontynuował naukę. Po otrzymaniu świadectwa dojrzałości studiował geografę i historię na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Poznańskiego.

Po ukończeniu studiów w 1928 podjął pracę jako nauczyciel geografii w Gimnazjum im. J. A. Komeńskiego w Lesznie. 1 września 1931 na własną prośbę przeniesiony do Gimnazjum Państwowego im. Jana Kasprzowicza w Inowrocławiu, gdzie do końca roku szkolnego 1932 wykładał geografę. 1 września tego roku powrócił do Kościana i podjął pracę w Państwowej Szkole Dookształcającej Przemysłowo – Kupieckiej. W 1934 zdał egzamin państwowy z geografii i geologii jako przedmiotów głównych i nauki obywatelskiej jako przedmiotu dodatkowego. Egzamin ten uprawniał do wykładania tych przedmiotów w szkołach ogólnokształcących i seminariach nauczycielskich. 1 września 1938 podjął pracę w gimnazjum w Stargardzie Szczecińskim. Pracował tam do wybuchu wojny.

W czasie okupacji mieszkał w Kościanie. Wyszedłony wraz z rodziną w maju 1941 do Generalnego Gubernatorstwa. Po zwolnieniu z obozu przejściowego w Konstancjynie, najpierw udał się do Piotrkowa Trybunalskiego, a następnie Kielc i Wyganowic. W tej ostatniej miejscowości pracował w tamtejszym młynie. Po kilku dalszych miesiącach zamieszkał w Kazimierzy Wielkiej. Został zatrudniony jako tłumacz w miejscowym Landkomisariacie, filii starostwa miechowskiego. Brał czynny udział w tajnym nauczaniu. Po wojnie wrócił do Kościana i podjął pracę w kościańskim gimnazjum. Uczyl w nim nieprzerwanie, aż do przejścia na emeryturę w 1969. Przez następne trzy lata pracował w Szkole jeszcze w niepełnym wymiarze godzin.

Bezpośrednio po wojnie był działaczem Polskiego Stronnictwa Ludowego. Z tego tytułu więziony i szykanowany. Współzałożyciel w 1961 Towarzystwa Miłośników Ziemi Kościańskiej. W latach 1961 – 1971 prezes Towar-

zystwa. Działał także w Towarzystwie Wiedzy Powszechnej i Lidze Ochrony Przyrody. Autor szeregu opracowań związanych z historią regionu. M. in. dot. dziejów Banku Ludowego, Ochotniczej Straży Pożarnej i Spółdzielni Mleczarskiej. Zmarł 27 sierpnia 1996 w Kościanie. Pochowany na cmentarzu parafialnym w Kościanie.

6.

Igłowicz Zygmunt (1905 – 1982)

Prawnik. Brat Igłowicza Bolesława. Bezpośrednio po maturze podjął studia na Wydziale Prawno-Ekonomicznym Uniwersytetu Poznańskiego. W 1927 uzyskał dyplom magistra prawa. Od sierpnia 1927 do kwietnia 1930 odbywał aplikację sądową w sądach w Lesznie, Kościanie i Poznaniu. 11 kwietnia 1930 złożył egzamin sędziowski. Po czym został asesorem Sądu Grodzkiego w Gnieźnie. Po krótkim czasie uzyskał nominację na sędziego sądu grodzkiego. Przez rok był oddelegowany do Sądu Okręgowego w Gnieźnie. 1 czerwca 1932 na własną prośbę został zwolniony z sądownictwa i otworzył kancelarię adwokacką w Gnieźnie, którą prowadził do września 1939 r. W październiku i listopadzie 1939 jako zakładnik przebywał w więzieniu w Gnieźnie. W grudniu 1939 wysiedlony do Piotrkowa Trybunalskiego. 18 lutego 1943 z żoną zostali aresztowani w Piotrkowie Trybunalskim pod zarzutem udzielania pomocy poszukiwanemu przez gestapo szwagrowi. 18 marca 1943 oboje wysłano do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, a w kwietniu tego roku przetransportowano go do obozu koncentracyjnego w Mauthausen w Górnej Austrii. Przebywał tam aż do oswobodzenia tj. 5 maja 1945. Po wyjściu z obozu krótko przebywał w Linzu, po czym pierwszym transportem powrócił do kraju.

W lipcu 1945 otworzył w Gnieźnie kancelarię adwokacką, którą prowadził aż do przejścia na emeryturę. Po przejściu na emeryturę zamieszkał w Poznaniu. Zmarł 23 marca 1982 w Poznaniu. Pochowany w Poznaniu na cmentarzu na Janikowie. (cdn)

ZDZISŁAW WOJTCZAK

*) Niniejszy artykuł, w nieco zmienionej formie ukazał się na łamach leszczyńskiego „Przyjaciela Ludu”.

W Internecie o powstaniu

Powstał nowy, interesujący portal internetowy poświęcony Powstaniu Wielkopolskiemu na Pałukach i Krajenie, który zawiera m.in. kilkaset powstańców zyciorysów, wykaz poległych oraz liczne fotografie.

Pod adresem www.powstanie.szubin.net zgromadzono bogactwo informacji o powstaniu w rejonie dzisiaj należącej do województwa kujawsko-pomorskiego, ale historycznie ciężącym do Wielkopolski. Zainteresowani znajdą zyciorysy powstańców, listę poległych, informacje o miejscach pamięci poświęconych temu jednemu zwycięskiemu powstaniu do wolności, o czczeniu kolejnych rocznic, kalendarium wydarzeń. Całość zilustrowano archiwalnymi i współczesnymi fotografiami. Oficjalne uruchomienie strony odbyło się 17 maja br. w Szubinie.

– „Nikt im isć nie kazał a poszli” oraz „Ty wnuku władasz numerycznym kodem” – te słowa z wierszy o powstańcach stały się mottem przy projektowaniu tej strony internetowej. Pamięć o tym bohaterskim zrywie odchodzi; uczestnicząc co roku w uroczystościach upamiętniających powstanie myślałam o domowych archiwach, muzealnych kartonach skrywających ludzkie losy, a pojawiających się tylko w grudniu, styczniu i lutym, gdy powstańcy stają do apelu podczas wystawy okolicznościowej. Nowoczesność przyszła nam w sukurs. Zamiast szperać po archi-

wach, chodzić do biblioteki, wystarczy kliknąć na naszą stronę – przekonuje dyrektor szubińskiego muzeum Kamila Czechowska, pomysłodawca i koordynator projektu.

Dotychczas zgromadzono imponującą liczbę 230 zyciorysów powstańców; dowódców i zwykłych żołnierzy oraz ich kapelanów. Wśród powstańców znalazłam biogram Stanisława Losego, człowieka który „przeżył własną śmierć”. Ten powstaniec wielkopolski, rodem z Turwi koło Kościana, uczestnik wojny polsko-bol-

szewickiej, drogo zapłacił za udział w powstańczym zrywie. Niemcy nigdy mu tego nie zapomnieli. W 1939 r. został aresztowany, następnie z innymi Polakami zaprowadzony na żydowski cmentarz w Szubinie i rozstrzelany. Po latach wspominał: „Padła salwa. Upadłem na twarz na ziemię, tracąc

Nowaczyk, Michał Pawełczyk, Sławomir Łaniecki. Na powstańczej liście strat widnieją 383 nazwiska, natomiast szczegółowe kalendarium ukazuje krok po kroku przebieg powstania. Dział multimedialny jest jeszcze skromny, ale będzie wzbogacany. Już teraz warto tam zajrzeć, by zobaczyć wzruszający film z 1993 r. o ostatnim żyjącym szubińskim powstańcu Jerzym Kwasku.

Portal będzie systematycznie rozbudowywany, obejmie także inne rejony objęte powstaniem. Z otwartymi rękami zostaną powitani wszyscy, którzy zechcą udostępnić powstańcze dokumenty i fotografie. Mile widziane są zyciorysy powstańców. Osoby, które chciałyby wzbogacić powstańczy portal proszone są o kontakt osobisty, telefoniczny lub mailowy. Już pojawili się pierwsi zainteresowani współpracą.

– Zapraszamy wszystkich, którym upamiętnienie powstania leży na sercu. Chęć współpracy właśnie zgłosił wnuk powstańca Jerzy Rusiniak z Bydgoszczy. Przesłał zdjęcie dziadka Antoniego Tomajczyka oraz jego dyplom weryfikacyjny. Wspólnie z matką opracowuje jego biogramem – cieszy się dyrektor Czechowska.

Strona została estetycznie i przejrzysto zbudowana, łatwo się po niej nawiguje. Pomysłodawcą i koordynatorem projektu jest dyrektor szubińskiego muzeum Kamila Czechowska. Uruchomieniu portalu towarzyszyła wystawa składająca się z archiwalnych fotografii związanych z powstaniem oraz przewodnik „Powstanie wielkopolskie 1918-1919 na terenie powiatu nakielskiego przez pryzmat miejsc pamięci” autorstwa Kamili Czechowskiej. Projekt został wykonany przy wsparciu funduszy pomocowych UE.

TERESA MASŁOWSKA



Okladka przewodnika po miejscach pamięci autorstwa Kamili Czechowskiej. Reprod.T. M.

przytomność. Egzekucji drugiej piątki nie pamiętam. Gdy odzyskałem przytomność usłyszałem słowa – ten pies jeszcze żyje – drugi głos odpowiedział – nie ten pies dostał trzy dobre strzały”. Ranny przedostał się w rodzinne strony, ukrywał się w Turwi, Krzywiniu, potem wyjechał do Warszawy, gdzie doczekał końca wojny.

Autorami biogramów są m.in.: wybitny znawca powstania, dobrze znany w Kościanie, prof. dr hab. Bogusław Polak oraz regionaliści: Piotr S. Adamczewski, Kamila Czechowska, Joanna

Doktor Piotr

Drukujemy wybrane fragmenty książki o historyku doktorze Piotrze Bauerze, napisanej przez jego przyjaciela prof. dr. hab. Bogusława Polaka, a wydanej przez Stowarzyszenie Absolwentów Gimnazjum i Liceum w Kościanie w 2009 roku. Nakład książki jest wyczerpany.

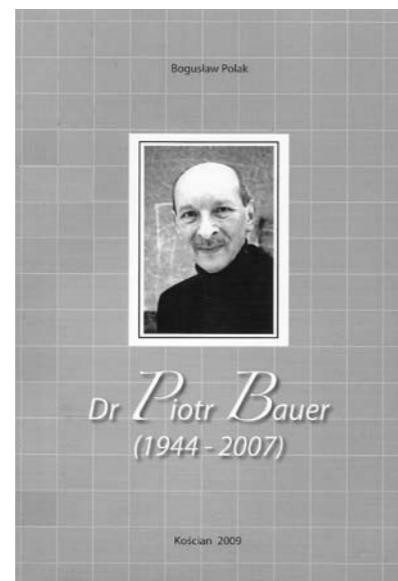
Wielokrotnie zadałem sobie pytanie: w jakim czasie pisać o Piotrze Bauerze? Odszedł od nas dwa lata temu – a więc w czasie przeszłym, jest wśród nas naszą pamięcią, a więc w czasie teraźniejszym, pozostawił po sobie liczącą się w polskiej historiografii dorobek naukowy – a więc zasadne jest też pisanie w czasie przyszłym. Kim był ten serdeczny, ciepły człowiek, którego znało i ceniło tak wielu? Biła z niego życzliwość dla ludzi, brzydził się tak częstą agresją. Życie Go nie rozpieszczęło: dramatyczne dzieciństwo, przeżycia osobiste (strata syna) – nie mogło nie pozostawić śladów w Jego psychice.

Jego pierwsze lata życia na ziemiśmi padole napisała wojna. Podczas rozmowy w czerwcu 1997 r. z Joachimem Zanker'em (z Muzeum w Alzey), który zadał P. Bauerowi pytanie: dlaczego nosi niemieckie nazwisko, Piotr odpowiedział: *Moi przodkowie po mieczu byli rolnikami spod podkościańskiej wsi Karmin i nosili nazwisko Bor. Mój dziad – Andrzej Bor powołany został do wojska pruskiego i brał udział w wojnie francusko-pruskiej 1870-1871. Z tego okresu zachowało się rodzinne zdjęcie dziadka w mundurze żołnierza wojska pruskiego. Do domu powrócił z dokumentami na nazwisko Bauer, zamieszkał w Kościanie i tu się ożenił. Po odzyskaniu w 1918 roku przez Polskę niepodległości chciał powrócić do dawnego nazwiska, ale w międzyczasie wybuchła II wojna światowa i tak rodzina po dzień dzisiejszy nosi nazwisko Bauer; tak już pozostanie.*

W dalszym ciągu wywiadu mówił o swoich rodzicach: Piotrze i Agafii Anicie: *Ojciec mój, również Piotr urodził się w 1911 roku w Kościanie. Po wybuchu wojny w 1939 roku zmobilizowany został do 14 pułku artylerii lekkiej [Wlkp.] w Poznaniu i brał udział w słynnej bitwie nad Bzurą. Ranny dostał się do niewoli, skąd po kilku tygo-*

dniach uciekł i powrócił do Kościana. Niestety, już na początku 1940 roku został aresztowany i wywieziony na roboty do Niemiec, do miejscowości Ascheberg w Westfalii.

W 1942 roku do obozu pracy, w którym znajdował się ojciec, przywieziono grupę robotników przymusowych z terenów Związku Radzieckiego, wśród



Okladka książki.

Projekt Grzegorz Pawlak

których znajdowała się czarnowłosa dziewczyna o imieniu Anita Agafia (1917-2001), z pochodzenia Gruzinka. Musiał się jej spodobać wysoki blondyn, jakim był mój ojciec, gdyż wkrótce stała się brzemienna. Były to jednak lata niewoli i przymusowy obóz pracy tak, że przed porodem matka skierowana została do obozowego lazaretu, gdzie urodziłem się 1 kwietnia 1944 roku. W obozach tych niemowlęta były jednak matkom odbierane, jednakże ojciec przy pomocy przebywających w obozie kościaniaków wykradł mnie i do końca wojny ukrywany byłem przez wielodzietną wdowę po poległym pod Stalingradem niemieckim żołnierzu. Nies-

tety jej nazwiska nie znam, po tylu latach uszło pamięci, a dzieje moich narodzin znam ze skąpych wspomnień rodziców.

Po zakończeniu wojny rodzice zawarli formalny związek małżeński – właśnie w Ascheberg, a ja zostałem ochrzczony w miejscowym kościele św. Alberta. Później mieszkaliśmy w Padeborn, gdzie w 1946 roku urodziła się moja siostra Krystyna. Po jej narodzinach ojciec zdecydował się wrócić do Kościana.

Taką nietypową historię ma wielu moich rówieśników niemal ze wszystkich krajów Europy, a napisała ją wojna.

Po wyzwoleniu w 1945 r. obozu przez wojska sowieckie, 19 maja Anita Agafia i Piotr Paweł zawarli związek małżeński w kościele pod wezwaniem św. Alberta. Świadcami ślubu byli kościaniaczy zamieszkał w Ascheberg: Stanisław Ludwiczak i Józef Matyja. Fakt ten potwierdza zaświadczenie o zawarciu związku małżeńskiego wydane w 1967 r.

Latem 1945 r. rodzina Bauerów umieszczona została w obozie przejściowym w Paderborn, w angielskiej strefie okupacyjnej, w dawnym obozie niemieckich wojsk pancernych. Tam też, 11 lutego 1946 r., na świat przyszła ich córka Krystyna.

6 maja 1946 r. rodzina Bauerów przez Punkt Repatriacyjny w Szczecinie dotarła do Kościana. Bauerowie mieszkali w Paderborn, w angielskiej strefie okupacyjnej, w dawnym obozie niemieckich wojsk pancernych. Tam też, 11 lutego 1946 r., na świat przyszła ich córka Krystyna.

W tym miejscu dotykamy trudnego okresu w życiu rodziny. Agafia Baurowa miała obywatelstwo sowieckie. W 1951 r. rodziną Bauerów „zainteresowały” się sowieckie władze bezpieczeństwa i wymusiły na matce wyjazd do wskazanego miejsca. Agafia Baurowa z czwórką starszych dzieci wyjechała do Kierc w ZSRS, a Urszula pozosta-

ła w Kościanie pod opieką siostrzenicy Ireny Szajek. Agafia A. Bauer podjęła pracę w szpitalu jako przyuczona pielęgniarka. 25 września 1952 r. władze sowieckie nadały Jej „Medal Matki”. Piotr Bauer (senior) niechętnie opowiadał o tym dramatycznym okresie. Podjął wszelkie możliwe starania u władz polskich i sowieckich o powrót rodziny do Polski. Zmuszony został do podpisania deklaracji o wstąpieniu do PZPR, co dla przedwojennego aktywnego działacza Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży musiało być nie lada wyrzeczeniem. Na szczęście matka z dziećmi już w 1953 r. wróciła do Polski do Krośnic pod Miliczem, gdzie Jej mąż, jako pielęgniarz współorganizował filię kościańskiego Szpitala Psychiatrycznego. Tam też najmłodszą córkę Ulę przywiózł brat ojca Stefan Bauer.

W kwietniu 1954 r. cała rodzina wróciła do Kościana i zamieszkała przy ulicy Nadobrzańskiej 6. W październiku tegoż roku matka podjęła pracę jako referent kulturalno-oświatowy i bibliotekarka w Państwowym Sanatorium dla Nerwowo Chorych w Kościanie. W 1961 r. objęła stanowisko kierownika tej biblioteki i pracowała tam aż do przejścia na emeryturę w 1978 r. Warto nadmienić, że z jej rąk kierownictwo biblioteki przejęła córka Krystyna, zamężna Bąk, magister bibliotekoznawstwa.

Wróćmy do Piotra. Jak wspominaliśmy, wojna pozostawiła ślady w Jego psychice. Jak pisze w swoim życiorysie, pozostał w nim uraz związany z dźwiękiem syren, które obwieszczały naloty alianckie, bardzo źle znosił też ciemności. To jednak nie przeszkodziło Mu w nauce, w pierw w szkole podstawowej, a potem w słynącym z wysokiego poziomu kształcenia Liceum Ogólnokształcącym im. Oskara Kolberga w Kościanie. Uczył się dobrze, był aktywnym sportowcem. Jerzy Zielonka po śmierci Piotra wspominał: *Mam przed oczyma elegancką, wysportowaną sylwetkę młodego sportowca z naszego Szkolnego Koła „Hellada”. Bardzo dobrze pływał, uprawiał kolarstwo, biegł – trudno mu było w tych dyscyplinach dorównać.*

Jurek Zielonka przypomniał epizod z naszych lat licealnych: *W liceum działał radiowęzeł. Jesienią 1962 roku Polskie Radio ogłosiło konkurs na amatorskie słuchowisko radiowe. Zjawili się*

wtedy u mnie „na Świętego Ducha” Piotruś Bauer i Boguś Polak z zarysem scenariusza. Rzeczą miała nazywać się „Błękitny Mauritius” i opowiadać o losach jednego z najsłynniejszych i najdroższych znaczków na świecie, wydanym w 1847 r. przez brytyjskiego gubernatora wyspy Mauritius. Autorem pomysłu był niewątpliwie Boguś, ale skrupulatne notatki, jakieś wypisy z katalogów filatelistycznych, zarys scenariusza napisał właśnie Piotruś. W tym duecie tak było i później: jeden naukowy marzyciel, prawie wizjoner, dynamika i rozmach; drugi – skrupulatny, zbierający kartkę do kartki, dokładny, uporządkowany.

Słuchowisko realizowane było w domu państwa Ruszkiewiczów, w pokoju Krzysia, który dysponował najlepszym sprzętem magnetofonowym, nad ówczesnym kinem „Słowianin”, przy użyciu efektów dźwiękowych w postaci burzy na morzu, okrzyku piratów, pościgu za złodziejami znaczka itp. Czy słuchowisko dostało nagrodę – nie wiem. Ale warto było je wtedy zrobić.

Długo jeszcze koledzy stroili sobie żarty z naszego „radiowego” debiutu, ale jak widać zapisał się on na kartkach wspomnień z naszych „szczenięcych” lat. Podobnych „szatańskich” pomysłów mieliśmy wiele. Śp. Profesor Tumidajski zaraził nas pasją turystyczną i nieraz przemierzaliśmy różne szlaki Ziemi Kościańskiej. W jednym z takich rajdów pieszych wyruszyliśmy jako ostatni; chyba ośmioosobowy zespół. Piotrowi i mnie wpadł do głowy pomysł, iż do naszego punktu docelowego dotrzemy jako pierwsi. Obaj narzuciliśmy naszym kolegom tak wściekle tempo, że istotnie do naszego Profesora dotarliśmy jako pierwsi. Wprawdzie wręczył nam honorowy dyplom, ale znacząco popukał się w czoło... A członkowie naszej drużyny długo leżeli na trawie, ciężko łapiąc oddechy i klęli nas niemiłosiernie!

Jak zaczęła się przygoda Piotra z historią, której wierny pozostał do końca? Najpierwsze było zamilowanie do numizmatyki. Jeszcze w szkole Piotr zaczął zbierać monety, banknoty i medale, koncentrując się na eksponatach polskich i niemieckich. Udało mu się zebrać unikatowe wręcz egzemplarze. Z pomocą innych kolekcjonerów zebrał znakomity zbiór monet miast nadbałtyckich: Królewcę, Rygi, Dorpatu, także Gdańska. Na ten temat napisał

szereg artykułów do pism fachowych. Znał się jak mało kto na tzw. pieniądzu zastępczym.

Inny nurt Jego zainteresowań to heraldyka, ze szczególnym uwzględnieniem herbu swego ukochanego Kościana. Nikt tak jak Piotr Bauer nie potrafił przedstawić i opisać skomplikowane losy tego herbu. Nie obce było mu też zamilowanie do szeroko pojętej archeologii, oczywiście w logicznym powiązaniu z pasją numizmatyczną. Zajmował się też bronioznawstwem, munduroznawstwem i falerystyką. Zainteresowania te będą mu przydatne w trakcie tworzenia zbiorów Muzeum Regionalnego w Kościanie.

Redaktor Jurek Zielonka, niestrudzony w swoich archiwalnych peregrynacjach, w 2007 r. w archiwach poznańskiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej natknął się, już po śmierci Piotra, na akta sprawy kryptonim „Elba”, opatrzone gryfem „Tajne – specjalnego znaczenia”. J. Zielonka opublikował fragmenty tych materiałów: *„Tajne – specjalnego znaczenia”. Ja starszy oficer operacyjny Służby Bezpieczeństwa Komendy Powiatowej Milicji Obywatelskiej w Kościanie por. Edmund Walczak w rozmowie z „Blondynką” ze Śmigła [tu imię, nazwisko i adres – dop. J.Z.] dowiedziałem się, że na terenie Śmigła pow. Kościan w latach 1959-1960 zawiązała się nielegalna organizacja młodzieżowa. Z wstępnych materiałów wynika, że organizacja ta liczyła 8 członków od 16 do 20 lat i opierała się na ideologii faszystowskiej. Wyżej wymieniona grupa posiadała nielegalnie pistolet i zamierzała nawiązać kontakt z faszystowskimi organizacjami w RFN. Wstępne materiały o istnieniu wspomnianej organizacji częściowo potwierdzają się z posiadanym przez nas materiałem. W celu ustalenia, czy organizacja ta faktycznie istnieje i rozważenia jej działalności, i składu osobowego, postanowiłem złożyć sprawę operacyjną pod kryptonimem „ELBA” na: 1) Piotr Bauer Nr 6644, 2) Lorke Eugeniusz Nr 6645, 3) Śliwa Zdzisław Nr 6646, 4) Gryś Jerzy Nr 6647. Na dokumencie poza podpisem porucznika SB Walczaka, później majora, znajduje się pieczęć „Zatwierdzam” z parafką zastępcy komendanta powiatowego MO kapitana SB Jana Dmitrocy, później majora. Data – 14 października 1963.(cdn.)*

BOGUSŁAW POLAK



Po lewej magazyny Państwowego Monopoli Tytoniowego.

Fot. Oryginał w zbiorach Muzeum Regionalnego im. H. Florkowskiego w Kościanie

La Pintury idą!... (II)

Dwaj dziennikarze poznańscy red. red. Ziemiński i Piechocki zjechali Wielkopolskę, a swoje spostrzeżenia zawarli w publikacji pt. „Wszere i wzdłuż Ziemi Wielkopolskiej”, wydanej w 1934 roku. Drukujemy drugi fragment, opisujący jak redaktorzy widzieli Kościan. W tekście zachowano pisownię oryginału.

Włóczy się teraz po mieście. Uderza wielka stonkowo ilość kościołów i kaplic. Więc kościół parafjalny współcześnie z miastem wybudowany, kościół św. Ducha, kościół św. Krzyża i kaplica O. O. Redemptorystów, która posiada najcenniejszy zabytek z dawnych czasów – cudowny krucyfiks, któremu kaplica zawdzięcza ocalenie od zagłady. Stajemy na chwilę przed jednym z najpiękniejszych gmachów szkolnych w całej Polsce, przed budynkiem gimnazjum kościańskiego. Potem chwila wędrówki nad kanałem skrytym w zieleni drzew. Skręcamy w jedną z ulic. Jest godzina 3-cia po południu.

Właśnie z zielonej bramy wysypują się tłumy dziewcząt i kobiet. Przechodnie obok mnie idący stwierdzają:

– Idą już „La Pintury” na obiad...

Tak nazywane są w Kościanie pracowniczki cygar Państwowego Monopoli Tytoniowego. Z pod ich to wprawnych rąk kobiecych wychodzą wonne, mile cygara, popularne „La Pintury”. Przed bramą oczekują swych żywicieli bezrobotni małżonkowie. Niektóre z nich wychodzą z fabryki dźwigając na ramieniu, małe dziecko, które wychodząc z fabryki zabrały z fabrycznego „żłóbka”. Twarze zmęczone, czasem uśmiechnięte i roześmiane, czasem znów smutne...

U ludzi, których myśli błędzą...

Zwiedzamy słynny zakład psychiatryczny. Piękną aleją kasztanową jadąc defilujemy przed szeregiem pawilonów zakładowych, wybudowanych w szachownicę. Za chwilę rozmawiamy z zastępcą dyrektora p. dr. Berezowskim. Dyrektor dr. O. Bielawski korzysta właśnie z urlopu.

– Ilu w tej chwili macie pacjentów, Panie Doktorze?

– Zakład w tej chwili posiada 800 pacjentów psychicznie i nerwowo chorych. W osobnym pawilonie znajdują się narkomani (alkoholicy, morfiniści, kokainiści). Zastosowana jest u nas

zasada do pewnego stopnia specjalizacji, w tym sensie, że chorych dzielimy na kategorie i rodzaje chorób i umieszczamy w odpowiednich oddziałach. I tam mamy oddziały obserwacyjne, gdzie poddaje się obserwacji nowoprzyjętych pacjentów, oddział dla nerwowo chorych niespokojnych, oddział dla chronicznych; „oddziały o drzwiach otwartych” dla pracy i oddziały dla cielesnie chorych.

– Ilu lekarzy ma zakład?

– Oprócz dyrektora lekarza posiada zakład 5 lekarzy dyplomowanych specjalistów i czterech lekarzy odbywających praktykę psychiatryczną.

– Jakie urządzenia dodatkowe ma zakład do dyspozycji?

– Mamy więc park zakładowy, stadion sportowy z pływalnią i bieżnią, boisko footballowe i t. p., , nowoczesnie urządzonej salę gimnastyczną, kompletnie nowoczesnie urządzonego instytutu leczenia fizykalnego, salę teatralną i t. d.

– Na czym polega ta słynna metoda leczenia, którą Zakład w Kościanie leczy swych pacjentów?

– Podstawową naszą metodą jest terapia pracy. W warsztatach pracy naszego zakładu zatrudniamy ca 55% leczonych pacjentów. Poza warsztatami rzemieślniczymi mamy także i folwark zakładowy, gdzie prowadzimy specjalną kolonię rolniczą. Folwark ten ma 400 mórg magdeburskich ziemi. Tam zatrudniamy część naszych pacjentów. Pozatem pracuje mnóstwo naszych pacjentów w poszczególnych warsztatach rzemieślniczych a więc: kowalskim, stolarskim, krawieckim, introligatorskim, ceramicznym, tekstylnym, koszykarskim i warsztacie prac artystycznych. Każdy warsztat jest prowadzony przez pielęgniarkę i fachowca zarazem. Ten czynnik terapii pracy jest tu niesłychanie ważny dla naszej metody leczenia. Zważa się przytem na wszystkie ważne momenty. Takim np. jest pewnik, że nie

wolno zatrudniać w jednej i tej samej dziedzinie pracy jednego i tego samego pacjenta. Leczenie minęłoby się tutaj z swoim własnym celem. Zamiast odwrócić go od myśli chorobowych i wrócić do świata rzeczywistego osiąga się skutek przeciwny: z pacjenta staje się autentyczny zasklepienie. Nasza ogólna metoda leczenia nazywa się metodą reedukacji psychiatrycznej. Stan rozumowania jest tu taki: ktoś został wychowany społecznie na jednostkę produktywną. Popadł w chorobę psychiczną i stał się aspołeczny, albo nawet antyspołeczny. Metoda reedukacji ma za zadanie wrócić tego człowieka na łono społeczności. Ma zgubić przez stosowanie odpowiednich sposobów to, co wywołała choroba. Poddziałem tej metody reedukacji jest t. zw. „opieka rodzinna”. Polega na tem, że po pewnym czasie leczenia, po podleczeniu oddaje się go do odpowiednich ludzi obcej rodziny. Znajduje się on wtedy pod



Widokówka z międzywojnia. Po dawnej cukrowni ostały się dzisiaj ruiny.

Fot. Oryginał w zbiorach Muzeum Regionalnego im. H. Florkowskiego w Kościanie

opieką lekarza, aż do stwierdzenia, że jest zupełnie zdrow. Urządzamy także zawody i wielką karą dla chorego jest skazanie go na pozostawanie w zakładzie, gdy jego koledzy grają. Rozdajemy także w odpowiedni sposób prezenty. Poza tym mamy w Zakładzie naszą zakładową walutę obiegową. Jest to „bon”. Dostaje się taki „bon” za pracę i bony te mogą pacjenci realizować w kantynie zakładowej. A w całym psychoanalitycznym naszym systemie leczniczym przyswieca nam jedna myśl. Odszukać przyczynę choroby, źródło myśli chorobowych i przyczynę tą wyleczyć, zlikwidować.

Żegnamy dr. Berezowskiego, bierzemy w środek jednego z lekarzy zakładowych i odbywamy wędrowkę po pawilonach. Idziemy najpierw alejami parku zakładowego. Z boku świecą białą plamą tenisowe korty. Potem wchodzimy oparkianą drożyną, między rozkwitłe drzewa sadu. Nad zagonami i grządkami pochyleni siedzą pacjenci zakładu i wytężając słabiotkie władze swego umysłu oporzadzają ziemię, którą przecież inaczej rozumieją niż my, jeżeli ją rozumieją w ogóle. Szare postacie w zakładowych ubraniach, nad szarą ziemią pochylone, gdy na wszystko pada ciepły, łagodny deszcz robią smutne wrażenie. Teraz weszliśmy na stadion sportowy. Włóczą się po nim zgięte lub pochylone postacie. Tamten podskakuje od czasu do czasu, a ten wita nas jakimś obłąkanym pytaniem.

– Jaką rolę odgrywa w leczeniu wychowanie fizyczne?

– Wielką, proszę pana. Zachęcamy chorych do ćwiczeń cielesnych. Poddamy ich gimnastyce szwedzkiej i koncentracyjnej.

– To są najciężej dotknięci – wyjaśnia nam lekarz.

Przechodzimy obok trybun. Na jednej z ławek siedzi młody chłopak, o chudej, kościstej twarzy i kiwając rytmicznie głową bełkoce jakieś niewyraźne słowa. Oglądamy następnie ze szczerym zachwytem symboliczne obrazy postaci sportowych, malowane na murze stadionu przez jednego z pacjentów. Rzeczy skończone pod względem artystycznym i bardzo ciekawe w ujęciu kompozycyjnym. Przechodzimy przez poszczególne warsztaty w których pracują rzemieślnicy o podjeździe tępych wyrazie twarzy. To

wszystko pacjenci zakładu. Jesteśmy właśnie na terenie działania – terapii pracy.

Potem świetnie urządzony zakład lecznictwa fizycznego; idziemy następnie starymi korytarzami, niegdyś refektarzami klasztoru O.O. Bernardynów, zaglądamy do cel z judaszem w grubych i oknami ze szkła mocnego jak kamień. Były to niegdyś cele, w których trzymano nagich tarzających się w brudnej słomie chorych umysłowo. Jeśli się ogarnie z jednej strony ogrom postępu jaki oddziela te nowoczesne przytulne, jasne i czyste urządzone pawilony obecnego zakładu z metodami, i sposobami leczenia, których ślady oglądamy właśnie a z drugiej strony stosunkowo niewielką odległość czasową tych rzeczy, wzbiera w nas podziw dla wielkości umysłu ludzkiego i ludzkiego serca. Jeszcze chwila wędrowki po oddziałach kobiecych, potem w uroczystym nastroju spędzonych parę minut w ciekawie zapowiadającym się muzeum zakładowym, serdeczne pożegnanie z lekarzem, warkot motoru i przez główną aleję zakładową wyjeżdżamy na ulicę.

Wpadamy skolei do wielkiej cukrowni kościańskiej, by w rozmowie z dyr. Godlewskim dowiedzieć się m. inn., że jest to pierwszorzędnie urządzone zakłady przemysłowe o dziennej zdolności wyrobowej około 2000 tonn buraków i zatrudniający w czasie kampanji 1300 robotników.

Wit Stoszczy czy nie on?

W starożytnej świątyni pańskiej. Przez chwilę spoglądamy na kościół z pewnego oddalenia. Surowy, pierwszy gotyk. Uderza niemiłe brzośnie. Za chwilę pasterz tej świątyni wyjaśni nam, że wieża kilka razy się zapadała i teraz kościół wygląda trochę na kalekę. Wchodzimy do wnętrza świątyni w towarzystwie ks. Hałasa. Ks. proboszcz Bednarkiewicz jest obecnie w Zakładzie św. Zofji. Zawiadomiony o naszej wizycie przybywa czcigodny kapłan, by nam przybył, ciekawym piękną kościoła, pokazać wszystkie jego krasoty. I zaczyna się wędrowka po zakątkach starego zabytku i rozmowa, którą tak bardzo lubimy.

O zamierzonych czasach powstania kościoła, o przyczynie, dla której ko-

ściół farny, który oglądamy ma aż 17 ołtarzy. Że to była przecież kolegiata rycerzy maltańskich, więc wszędzie w okolicy dlatego tak dużo figur św. Jana. Że 17 jest ołtarzy w kościele, bo tytu było „kapelanów” t. zw. altarystów i każdy odprawiał nabożeństwo przy swym ołtarzu. Rzucamy ogólne spojrzenie na wnętrze świątyni. Prześliczne gotyckie wiązania stropu, surowy gotyk ścian, a w tej gotyckiej oprawie barokowe cacka ołtarza głównego i bocznych. Dwa diametralnie różne style a jednak tak ze sobą harmonizują. Stoimy przed głównym ołtarzem. Wszystko to, co wewnątrz świątyni stanowi, to rzeczy z XVI i XVII w. – informuje nas ks. proboszcz Bednarkiewicz. Zapatrzyliśmy się w niezwykle bogatą i harmonijną kolorystykę postaci świętych z ołtarza. Z pewnej odległości ołtarz główny gra w oczach tylko gamą mocnych, soczystych i harmonizujących ze sobą barw.

Potem wspólnie odczytujemy napis na b. ładnym kenotaphium małżonków Orzelskich. Obie rzeźby pochodzą z 1595 r. Odwracamy się. Na łuku triumfalnym ciekawe ujęcie Kalwarii z 1781 r. A teraz stajemy przed bocznym ołtarzem. W szafie z drzewa lipowego piękna płaskorzeźba przedstawiająca Bożą Matkę w otoczeniu świętych. Ołtarz ten nazywa lud „ołtarzem wszystkich świętych”. Na ścianach drzwi zamykających szafę obrazy naturalistyczne, przedstawiające fragmenty Męki Pańskiej. O ołtarz ten toczył się od dawna spór. Najpierw stwierdzono, że to arcydzieło Wita Stosza (Stwosza). Potem przyszli konserwatorzy i znawcy i orzekli: nie sam mistrz Wit ale jeden z najbliższych mu uczniów. Wreszcie ks. Dettloff z Poznania twierdzi, że to jest arcydzieło polskiego malarstwa cechowego. My widzimy jedno: rzecz jest piękna.

Potem słuchamy jeszcze księdza proboszcza, chwającego piękną rejestrację cichych teraz, w górze lśniących organów, przebudowanych tu przez jego poprzednika, słynnego znawcę muzyki kościelnej ks. Surzyńskiego. Ostatnie spojrzenie na dziesiątki ołtarzy i ołtarzyków, z których dwa mieszczą się na górze, co jeszcze bardziej upodabnia kościół farny do wnętrza kościoła Marjackiego w Krakowie, serdeczne pożegnanie ks. proboszcza i jedziemy w powiat.(cdn)

Z „Gazety Polskiej” z 1929 roku

W 1929 r. lokalna „Gazeta Polska” donosiła m.in. o wyjątkowo srogiej zimie, która zebrała śmiertelne żniwo, wyborze nowego władcy miasta, budowie kręgielni i łazienkach miejskich oraz sprowadzeniu z dalekiego Carskiego Sioła zwłok księżnej Joanny Grudzińskiej.

Rok 1929 został zapamiętany jako ten, w którym rozpoczął się ogólnoswiatowy kryzys ekonomiczny trwający do 1933 r., a który odcisnął swoje piętno także na całej Polsce, a więc i na naszym mieście. Zimą 1928/29 r. charakteryzującą się ekstremalnymi temperaturami uznano za jedną z najbardziej srogich zim XX stulecia. Te wydarzenia ściśle z pogodą związane zostały w „Gazecie” zauważone i wielokrotnie do nich wracano.

Informowano więc czytelników, że pod biegunem było wówczas prawie ciepło, a na Spitsbergenie temperatura podniosła się prawie do 5°. Z Monachium donoszono, że po raz pierwszy od wielu lat zamarzł Dunaj w Regensburgu.

W Polsce zima rozpoczęła się w pierwszej połowie grudnia 1928 r. mrozem i śniegiem, i z wyjątkiem kilku łagodniejszych dni po Bożym Narodzeniu trwała bez przerwy i potęgowała się co kilkanaście dni, aż „doszła do takiej srogości, że takich mrozów i śniegów nie pamiętają najstarsi ludzie”. 28 lutego podano, iż „Dzisiaj w Kościanie ponad 20° mrozu. Drzewa oszroniały przedstawiają piękny krajobraz, a tu już za 4 tygodnie Wielkanoc, a za 3 wiosna. Co to będzie?”. 4 marca „Ludzie łamią nogi i ręce z powodu ślizgawicy na ulicach i podwórzach. Należy więc posypywać popiołem nie tylko rano, ale i wieczorem”. Nad Obrą zamarzło kilka osób z grupy wędrownych Cyganów. Oceniano, że z powodu mrozów dochodzących do minus 35 stopni uległo zniszczeniu około 60 proc. drzew.

Mimo srogiej zimy życie kulturalne i społeczne w Kościanie nie zamarzło. Już 27 stycznia odbyła się wieczornica tutejszej Ligi Katolickiej, która w Kościanie liczyła prawie trzy tysiące osób.

W czasie wieczornicy p. Helakówna przedstawiła odczyt pt. „Katolicyzm a nasze odrodzenie narodowe”.

W karnawale odbyło się wiele zebrań działających w mieście organizacji i stowarzyszeń połączonych z zabawami tanecznymi.

Po długotrwałych perypetiach związanych z wyborem nowego burmistrza w kwietniu dokonano wreszcie jego wyboru. Nowym burmistrzem został Edmund Maćkowiak, który pełnił obowiązki do 1936 r., tj. do momentu wyboru na stanowisko prezydenta Gniezna.

Ważnym wydarzeniem dla społeczności Ziemi Kościańskiej, któremu „Gazeta” poświęciła uwagę, była sprawa sprowadzenia z Carskiego Sioła koło Petersburga zwłok Joanny Grudzińskiej – żony Wielkiego Księcia Konstantego. Trumnę umieszczono na cmentarzu przy kościele w Rąbinu. W 1929 r. odnotowano realizację wielu inwestycji miejskich.

Między miastem a p. Migdałkiem została zawarta umowa na budowę w parku miejskim kręgielni.

12 czerwca otwarto łazienki miejskie, które poświęcił ks. proboszcz Bednarkiewicz. Tego samego dnia otwarto wspomnianą kręgielnię.

W listopadzie poświęcono kamień węgielny pod budowaną halę gimnastyczną „Sokoła”. W akcie erekcyjnym napisano, że powstaje ona dzięki ofiarności członków i sympatyków Związku Sokolów Polskich.

W 1929 r. do Kościana przybyło wielu znakomitych gości. 23 maja przejeżdżał przez miasto w drodze do Czacza prezydent Ignacy Mościcki.

W sierpniu gościła w Kościanie grupa 37 parlamentarzystów francuskich z księciem Januszem Radziwiłłem na czele. Na ich przyjęcie miasto odświętne udekorowano. Grupa zwiedziła m.in. tutejszą Cukrownię. 9 września przybył do Kościana ks. bp. Walenty Dymek.

Za godny odnotowania uznała „Gazeta” fakt objęcia w październiku 1929 r. stanowiska dyrektora Krajowego Zakładu Psychiatrycznego przez znakomitego lekarza Oskara Bielawskiego.

Pod koniec roku przeprowadzono wybory do Rady Miejskiej. Kandydatów umieszczono na 4 listach. Swoje głosy oddało w wyborach 3593 obywateli. Wybrano 18 radnych.

Z informacji zamieszczonych w „Gazecie” można było się dowiedzieć, że z okazji odbywającej się w Poznaniu Powszechnej Wystawy Krajowej Zarząd odznaczył kilka kościańskich firm, m.in. W. Czajki i redakcję „Gazety Polskiej”.

Koniec roku tradycyjnie przyniósł rozmaite informacje i reklamy związane ze zbliżającymi się świętami Bożego Narodzenia i Nowego Roku.

JAN PAWICKI

Zawsze pod prąd

Ktoś ujął mnie za łokieć. Już miałam go po warszawsku obsztorcować, odwróciłam się, a to prokurator Maks Auster, który właśnie oskarżał męża. Zapytał: – Co pani tak się nasze rozprawy podobają?

Gronowscy. Poznali się w konspiracji. Ona była młodzieńką łączniczką; on wdowcem, kierownikiem Wydziału Organizacyjnego na Warszawę w „Ojczyźnie”. Połączyła ich okupacyjna miłość. Pobrali się jednak dopiero 3 grudnia 1945 r. w Śmiglu. W dniu urodzin panny młodej.

– W domu odbyło się skromne przyjęcie. Z mojej strony przyjechała tylko matka, bo ojciec już nie żył, brata straciłam kilka miesięcy wcześniej. Goście siedzieli w pokoju, kiedy do środka wparowali ubowcy z wymierzonymi w nas karabinami. Dom i ulice dojazdowe obstawiono. Dwóch cywilów zabrano do pokoju obok. Po pewnym czasie wyszli, mąż powiedział do mnie: – Kochanie, chodź się pożegnać, jestem aresztowany. Na te słowa jakaś pani zemdlała przy stole. Męża wyprowadzono, uklękłam przed krzyżem i zaczęłam się modlić, ale zaraz pomyślałam, – Głupia, jak pobiegiesz na dwór, to go jeszcze zobaczysz – opowiada Stefania, żona mecenasa Jerzego Gronowskiego.

Młoda para nie zdążyła do fotografa. W więzieniu Jerzy Gronowski prosił żonę o zdjęcie. Włożyła więc białą bluzkę uszytą ze spadochronu, narzuciła pożyczone białe króliki, wzięła fotografię męża w mundurze i zrobiła niby ślubne zdjęcie. Do więzienia przemyciła je w chlebie. Przechowywał je niczym relikwie.

W „Ojczyźnie”

Stefania Gronowska z domu Pobiedzka urodziła się 3 grudnia 1923 r. w Warszawie. Rodzice Stanisław i Maria prowadzili na Pradze sklepik z gazetami i papierosami. Ich jedyny syn Józef zginął w 1945 r. Statek, którym płynął wpadł na minę gdzieś koło Gdyni. Stefania ukończyła 3 klasę gimnazjum kupieckiego, kiedy wybuchła wojna. Przez znajomych z harcerstwa już w marcu 1940 r. wstąpiła do Związku Walki Zbrojnej. Przeszła kurs sanitar-

ny i praktykę w Szpitalu Maltańskim, w którym w leczono rannych akowców, m.in. po akcji pod Arsenalem i zamachu na Franza Kutscherę, rozwodziła prasę konspiracyjną. W 1942 r. jeden z kolegów – student z Poznania – zaproponował, żeby przyłączyła się do nich. Chodziło o grupę konspiracyjną „Ojczyzna”, którą utworzono w Poznaniu. Była łączniczką, pomagała gromadzić dowody zbrodni hitlerowskich.

– Ucieszyłam się, bo zaczęłam otrzymywać więcej zadań. To było dla mnie najważniejsze, nie zastanawiałam się zbyt, co to była za organizacja. Tam spotkałam Jerzego. Imponował mi, również innym łączniczkom, prowadził szkolenia i fantastycznie przemawiał. To był oficer z ikrą.

W warszawskiej „Ojczyźnie” działało wielu Wielkopolan m.in.: Witold Grott, rozstrzelany przez Niemców w 1943 r., Jan Jacek Nikisch, Juliusz Kolipiński, Edward Serwański. W czasie Powstania Warszawskiego wydawali pismo „W walce”, wielu walczyło w oddziałach Armii Krajowej. Stefania Gronowska wspomina, że miała pecha, bo nie uczestniczyła w powstaniu: – Zgubiłam chęć pomocy pewnej starszej pani, która już kilka dni przed powstaniem bała się wyjść z domu. Przyniosłam jej chleb, ale do swojego oddziału już nie zdążyłam. Na Nowogrodzkiej w pobliżu Poczty Głównej, gdzie się znalazłam, powstanie wybuchło wcześniej. Bezsilna przesiedziałam ten czas w piwnicy.

Powstanie dogorywało. Po Warszawie krążyli bandyci z Brygady RONA Kamińskiego i kryminaliści od Dirlewangera. Kradli, mordowali i gwałcili. Łączniczka wiedziała, że musi się ratować szybko opuszczając miasto. O pomoc poprosiła przypadkowego kolejarza. Ten dał jej biało-czerwoną opaskę i poradził dołączyć do grupy dziewcząt z PCK, które wydawały chleb.

– Ludzie byli wspaniali. Niektórzy mnie znali, ale nawet okiem nie mru-

gnęli, żeby nie zaszkodzić. Z tymi sanitariuszkami pojechałam potem do Grodziska Mazowieckiego. Tak uniknęłam obozu. Dostałam się do Brwinowa, gdzie przebywali przyjaciele z „Ojczyzny”. Na ulicy przypadkiem spotkałam Jerzego z kolegą. Potem razem ukrywaliśmy się jakiś czas u znajomego lekarza w cukrowni w Józefowie pod Warszawą. W poczekalni, gabinecie wszędzie były sienniki dla uchodźców ze stolicy.

W Warszawie zostali rodzice. Od dawna nie miała od nich żadnej wiadomości. Po wejściu Rosjan z koleżanką poszły do stolicy. Przenocowały w ruinach, a rano po lodzie – most Kierbedzia zniszczyli Niemcy – przedostały się na drugą stronę. Odnalazła tylko matkę, ojciec zmarł na gruźlicę.

Na czarnej liście

Jerzy Gronowski urodził się 11 lipca 1908 r. w Kielcach. Ojciec Stefan był inżynierem piwowarem, urodził się w Strzelnie. Matka Maria z Gaczorkowskich pochodziła z Kieleckiego. Ojciec kierował dużym browarem w Grodzisku Wlkp. Przed wojną przeniósł się do Częstochowy, by objąć kierownictwo nad miejscowym browarem. Byli zamożną rodziną, ale życie ich nie oszczędzało. W 1914 r. Stefan Gronowski kierował zakładem w Kielcach, które leżały pod zaborem rosyjskim.

– Wybuchła wojna. Z niemieckim obywatelstwem, bo przecież Wielkopolska była pod zaborem pruskim, rodzice Jerzego automatycznie stali się podejrzani. Rosjanie zastosowali więc znaną sobie od wieków metodę – zesłali teścia na Syberię. Żona, dzielna kobieta, pojechała za nim. Rok tułała się z trójką małych dzieci zanim dołączyła do męża w Irkucku.

Dopiero w 1922 r. wrócili do kraju. Dbali o wykształcenie dzieci. Jerzy ukończył Państwowe Gimnazjum im. Św. Stanisława Kostki w Kościanie, w 1928 roku zdał maturę. Kilka lat



Rodzeństwo (od prawej) Jerzy, Zbyszek i Krystyna na zesłaniu w Irkucku

Fot. Ze zbiorów Stefanii Gronowskiej

► później maturę zdał tam młodszy syn Zbigniew, który poległ we wrześniu 1939 r. Do kościańskiej szkoły chodziła także jedyna córka Gronowskich Krystyna. Jerzy ukończył prawo na Uniwersytecie Poznańskim, zdążył jeszcze zdobyć uprawnienia adwokackie. Po wojnie zostanie wybitnym adwokatem. Póki co, jako działacz Stronnictwa Narodowego jeździł rowerem ze Śmigła do Grodziska czy Poznania przemawiać na wiecach. Za to przesiedział kilka miesięcy w Rawiczu. O ironio, piętro niżej siedział Bolesław Bierut. Aplikanta adwokackiego broniło aż siedmiu kolegów. Krąży opowieść, że po zwolnieniu przyjaciele przyszli powitać go na dworcu i z radości nosili na rękach. Nie ostatni to raz płacił za swoje poglądy. Przed wojną tępiony jako narodowiec, u Niemców na czarnej liście, po wojnie ścigany przez komunistów.

W sierpniu 1939 r. został zmobilizowany do 55 pułku piechoty w Lesznie. Był adiutantem dowódcy 2 batalionu, sądził niemieckich dywersantów w Lesznie. Walczył pod Bzurą, a po klęsce wrześniowej przedostał się do Kielc, potem mieszkał u ciotki w Jędrzejowie, gdzie zaraz też przystąpił do konspiracji. Kapitan Kazimierz Jastrzębski zaprzysięgał go do ZWZ. Cały czas był poszukiwany przez Gestapo za działalność narodową i udział w Sądzie Wojennym. Szukali go wszędzie. U rodziców w Częstochowie, wypytywali jego młodego syna Lucjana licząc, że nieświadome niczego dziecko wskaże im trop do ojca. Ciągle uciekał. Po opuszczeniu Jędrzejowa ukrywał się w Lublinie, jesienią 1941 r. pojawił się w Warszawie. W szeregach „Ojczyzny” przyjął go jego przyjaciel Jan Nikisch. Skierowany do Wydziału Organizacyjnego, którym kierował Juliusz Kolipiński, przyjął pseudonim „Michał”. To imię po wojnie otrzymał jego młodszy syn.

Z warszawskim tupetem

W 1945 r. Jerzy Gronowski wrócił do Śmigła, gdzie mieszkał przed wojną. Stefania dla niego zostawiła stolicę i przeniosła się do Wielkopolski: – Mąż czasem pytał – Jak ci się podoba Śmigielek? Ładne miasteczko – mówiłam. Do Warszawy mnie ciągnęło, przez wiele lat musiałam raz do roku pojechać, obejść znajome kąty, odwiedzić dawnych przyjaciół. Wie pani, jeśli ludzie się kochają, to i łatwiej się żyje,



Podporucznik Jerzy Gronowski w 1938 roku

Fot. Ze zbiorów Stefanii Gronowskiej

i wszędzie się za mężem pójdzie. Skoro moja teściowa mogła podążyć na Syberię, to ja miałam do Śmigła nie jechać?

Jak wiadomo dla wielu żołnierzy Polskiego Państwa Podziemnego wojna nie skończyła się 8 maja 1945 r. Kontynuowali rozpaczliwą walkę w tzw. drugiej konspiracji. Jerzy i Stefania przystąpili do Wielkopolskiej Samodzielnej Grupy Ochotniczej „Warta”, którą powołał ostatni komendant Okręgu Poznańskiego AK ppłk Andrzej Rzewuski. On też

mianował Jerzego inspektorem rejonowym w Lesznie. Stefania przewoziła meldunki i dokumenty. Gronowski po odświeżeniu kilku miesięcy w Straży Przemysłowej w Nowej Soli i Zielonej Górze rozpoczął praktykę adwokacką w Śmiglu. W grudniu 1945 r. został aresztowany i oskarżony o działalność konspiracyjną.

– Rozprawa była ohydna. Męża wyzywano od najgorszych. Ale był prawnikiem, umiał się bronić. W prze-

rwach chodziłam na papierosa. Ktoś ujął mnie za łokieć. Już miałam go po warszawsku obsztorcować, odwróciłam się, a to prokurator Maks Auster, który oskarżał męża. Zapytał: – Co pani tak się nasze rozprawy podobają? – Wczoraj panią widziałem na rozprawie kapitana Vogla, dzisiaj znowu. Na kolejnym papierosie powiedziałam: – Panie prokuratorze, męża los jest w pańskich rękach. On też kocha ojczyznę i bronił jej po swojemu. To pan będzie zdawał sprawozdanie szefowi, on weźmie pana opinię pod uwagę. Nie czarujmy się, przecież prokurator Świątkowski nie zna słowa po polsku. Zachnął się, ale przestał męża wyzywać od bandytów.

Z kwiatami pod więzieniem

Zapadł wyrok. Pięć lat. Jednak na mocy amnestii Jerzy Gronowski mógł opuścić więzienie. Pod jednym warun-

kiem, że prokuratura nie wniesie rewizji wyroku.

– Jerzy był już jedną nogą na wolności. Zebrałam się w sobie i poszłam o niego walczyć. Fortelem dostałam się do Austera prosić, by zaniechał odwoływania się od wyroku. Mało tego, wymogłam na nim natychmiastowy nakaz zwolnienia, i – szczyt szczytów – jeszcze poprosiłam o dorożkę z żołnierzem, który od razu zawiózł mnie na Młyńską. Mąż potem opowiadał, że nie wie jak, ale pierwszy raz w życiu chodził po ścianach z radości. Zobaczył, jak siedzimy z Wandą naprzeciwko więzienia z ogromnym bukietem kwiatów. Czuję, że dzieje się coś cudownego.

Jerzy Gronowski wyszedł z więzienia, ale Urząd Bezpieczeństwa nie przestał się nim interesować. Przy weryfikacji w 1951 r. skreślono go z listy adwokatów jako politycznego.

– W końcu stwierdził, że zostanie robotnikiem, a nie będzie nikogo o nic prosił. O nie! – powiedziałam. Przypomniałam sobie przyjaciół z warszawskiej konspiracji. Załatwiłam mężowi rozmowę u Ministra Sprawiedliwości. Musiałam go do wagonu wpakować, bo się zapierał. Komisja uchyliła decyzję. Ciągle były problemy. Pojechałam z dokumentami syna do kościańskiego gimnazjum, a dyrektor Wybieralski do mnie: – Proszę pani, komisja społeczna orzekła, że dosyć inteligencji jak na jedną rodzinę, jeden syn może u kowala konie kuć. Przyjaciele z konspiracji znowu pomogli załatwić szkołę w Poznaniu.

Jerzy Gronowski zmarł po ciężkiej chorobie w 1992 roku. Po jego śmierci żona przeniosła się do Leszna, gdzie mieszka do dzisiaj.

TERESA MASŁOWSKA



Stefania Gronowska

Fot. Ze zbiorów Stefanii Gronowskiej



Gorzko pachną piołuny (II)

Karykatura Adama Tomaszewskiego. W zbiorach Jerzego Zielonki

Poednie! Sprawdzają swe cebule Nalewaj, Ochla, Szczerbaj. Nie daj Boże puścić robotników o minutę za wcześniej na obiadową przerwę, jeszcze jaki gorliwiec uzna to za polski sabotaż. Poednie! Niektórzy popędzili do domów, ale większość rozkłada się gdzie w cieniu i pojada niespiesznie chleb z kartkowym salcesonem popijając kawą z butelki. Jest i kilka kobiet z garnuszkami i dwojakami, przyniosły chłopom obiad.

Rzadkie pyrki”, „jarmuż”, kapuśniak, polewkę z kartoflami. Polewka szlachetna, poleweczka, ulubiona potrawa Wielkopolski! Niewiele wprawdzie krzepy daje, ale tutejszy człowiek jada ją chętnie nawet codziennie. Nie jakaś tam zupa mączna – naworka, pomyrdajka, muzajka, frydka, oblecistodołka, zakręcajka czyli gorąca woda zabieleną mąką, zasypana krupami. Jadają tu i taką, ale w estymie nie mają. Dobrze to la haziaków albo inszych poleszków. Natomiast umiejętność przyrządzenia smacznej polewki to ważna zaleta kobiety, sprawdzian przygotowania panny do małżeństwa. Nie na próżno w którymś z powiatów Poznańskiego śpiewają chłopcy splonionej ze wstydu dziewczynie: „Marysiu, Marysiu coś ty narobiła, polewkę żeś przypaliła”. Zagotowuje się maślanek, rozrabia w garnuszku żytnią mąkę z mlekiem mieszając „kwirlejka”, wlewa do maślanki, gotuje chwilę, zalewa krychane pyry na „głębokim talerzu”. Zrosła się ta potrawa z tutejszym życiem, weszła do miejscowego folkloru, nie obejdzie się bez niej kościaniok, pleszowiok, krotoszyńciok, Kubiok i Nowoczka, chłopok Walkowiaka i Cesia od Andrzejczaka. „Nawet w wielgim poście mało kto żur jodo, naród woli zagon pyrek i brudę polywy, wtedy dopiyo kuntentny, wtedy dopiyo się najod”.

Nie spiesząc się któryś z robotników rozwija z gazety zimną pieczonkę. Zainteresował się zaraz sąsiad, łakomymi ślepiami oblecia kupę rumianych udek i skrzydełek. „To ci labija. I powiedają,

że tera som cienkie czasy. Nie dziwota Walek, że tak się z robotą narywasz. Tłuste kuroski se żre... Co tu się dziwić, że kiedy jednom cegłę żem oskroboł, łon bez ten czas narychtował trzy”.

Bez słowa młody jeszcze mężczyzna podsunął swój obiad koledze. Zawistnik porwał spory kawał mięsa i żuł długo, z widocznym wysiłkiem. Przeklął wreszcie i wykrzywił gębę: „Stara musiała być zaraza, istna kurza babusia. Mgli mnie bauch teraz, zaro zrucę”.

„A widzisz” – uśmiechnął się Walek, spokojnie obgryzając kostkę. „Bądź zadowolony, że nie wołsz teraz kra, kra. O młode gapy latową porą nie trudno. Wyskrobać się na drzewo albo i kamieniem gniazdo spuścić, każdy uradzi. Podpiekli z kobietom na oleju. Wielkiego smaku w tym nie nojdziesz, ale zjeść można kto nauczny, jeszcze w tamtom wojnę ludzie jedli”.

Popołudnie nabrzmiewa upałem i coraz bardziej materializującą się nadzieją końca bezmyślnej, ogłupiającej pracy. Wracają do domu niemieccy biurokraci, uznojeni wachlują się kapeluszymi, zagadują wesoło polskich robotników. Ostatecznie nawet taki prymityw, podjudzany codziennie przez pana Greisera i jego kompanię, może wreszcie odmachnąć niecierpliwie: Quatsch Mensch, za gorąco!

Stuk młotków stracił na intensywności, zmalała gwałtownie ilość oglądanych cegieł. W miarę jak ożywia się dyskusja na temat spraw, które dla nas są sprawami życia i śmierci.

...jeszcze żdziebko i bydzie fertig.

– Szaleju człowieczeńs się nażar? Głupoty wygadujesz jag nie wiem...

– Chto Niemcowi uradzi. No chto?

– Nich.

– Jak groch zacznin kwitnąć, powiedali bydzie koniec.

– Przepowiednie pokazowali, pierdołki rozmaite ze starego kalendarza.

– Koniec bydzie na zicher, choć ta i nie taki jak ludzie myśleli.

– A my?

Długie milczenie. Młotki stukają jak w kostnicy. Kiedy pod murem szpitalnym ustawiają się człowiek z krzyżem, czarna żałobna chorągiew, chłopcy w komżach. Książd pokropił ciało, skrzypnęło wieko trumny, wśród łkań rodziny posługacz szpitalny wbija teraz w drewno długie gwoździe.

Splunął któryś. Trzepnął żelazem na płask, aż czerwona bryła rozleciała się w kawałki. „Bydzie z nos chabanina”. Kościsty dziadek co dnia dochodzący do roboty aż spod Oborzysk wysmarkał się z hałasem. Zatarł butem śluz, kopnął skrzynkę po piwie, służącą komuś za stołek.

„A jo wom powiadom chłopcy, że głupie jesteście jak to szewskie kopyto, jak ten kuński zod. Bydzie hycel mioł Anglię, chto Niemcowi uradzi?” przedrzeźniał zjadliwie. „Bydzie kom mioł na święty hyc jak Bodziem owce strzyc. Nie takie przed nim zajachać tam chciały; wiele nie szukając Kajzer Wylem, albo jakżem w starej ksunżce gdziesi wyczytał som Napoleon i jego marszałki... Dobrze chłopcy były, wojoki jakich świat nie widział. I co? Zajachali? Szkieber siłę mo wielgą, to jest prawda,

oszparował flugzojgów, tanków, autów, maszynwerów, porzundki u niego nie takie majewe jag u nos... To tyż wzion Poloków, Francuzów, Holenderczyków, nie powiem że nie, bo tak beło. Ale furt na twardym groncie, cingiem na polu. I tera sobie rozwoźcie – zawiesił głos dla efektu – że Anglija całkiem na wodzie leży, wodom ze wszystkich stron obtoczona. Żeby lo niej się dostać okręta muszą rychtować, statki rozmaite i takie i owakie, nie głupotki żodne, zmocowane to mo być na fest, kupy się trzymać, morze to nie rzyka, którą w węborku bele jakim przepłyniesz”.

„Już ty się nie bój – przerywa któryś ze słuchaczów. „Niemcy sobie i z tym poradzą. Nie mają to inżynierów, pionierów, wojsk technicznych? Dla nich nie ma rzeczy niemożliwych”.

Nagły tupot butów nadciągających ulicą Mickiewicza przerywa żywą już sprzeczkę. To angielscy jeńcy wracają z roboty. Przywieźli ich, a jakże, około setki, będzie ze dwa tygodnie. Urządzaliśmy dla nich tymczasowy obóz w dawnej Sokolni. Pilnuje ich kompania jakiegoś wyranżerowanego wojska, powiadają Landswehry, pilnuje bardzo czujnie. Gęste posterunki trzaskają zamkami, legitymują, wrzeszczą na przechodniów. Oglądamy Anglików niemal codziennie, wracają zawsze o tej porze. Podobno gdzieś pod Racotem naprawiają szosę.

Właśnie mija nas małą grupka. Cztery trójki, rosłe chłopcy, w zgrabnie skrojonych mundurach koloru khaki. Bije od tego żołnierza nawet w niewoli pewność siebie, zamożność, podtrzymująca nas na duchu zadzierzystość. Marszerują szybko, ogromnymi krokami, umyślnie wyciągają nogi. Trzech wachmanów (na dwunastu jeńców) biegnie za nimi kłusem, wrzeszczy wściekle, grozi karabinami. Jeńcy odpowiadają śmiechami, wołają coś w naszą stronę. Opuściliśmy głowy, młotki stukają gwałtownie, nie odważy się żaden od dać pozdrowienia, chociaż serca biją nam radośnie na widok bezsilnej złości zagonionych owczarków.

Po bokach ulicy gromadzą się niemieccy cywile. W ponurym milczeniu przyglądają się Anglikom, ten twardy nieprzyjaciel wzbudza w nich mimo



Pisarz (pierwszy z lewej) z wizytą w Kościanie w 2000 r. Fot. ze zbiorów Jerzego Zielonki

wszystko szacunek i refleksje. Maszerująca grupka gwizdże skoczną, dziarską melodię. Rosną w nas serca, rosna naprzekór złu, nadzieje. Nie wiemy jeszcze, że brukami naszego miasta maszeruje zwycięska aliancka piosenka – Tipperary.

Zamknięto czternastowieczną Farę, pamiętającą najdramatyczniejsze wypadki w historii Kościana. Zamknięto podominańską Kaplicę Pana Jezusa, z cudownym krucyfiksem. Rozebrano na złom stary kościół Świętego Krzyża – miejsce nabożeństw gimnazjalnych sodalicii, gdzie tyle razy rozbrzmiewał piękny hymn „Błękitne rozwińmy sztandary”.

Ten sam los spotkał setki wielkopolskich kościołów, pozamienianych na magazyny i składy rozdzielcze narkradzonego dobra. Życie religijne zeszło do podziemi jak w czasach pierwszych chrześcijan. Ukrywających się kapłanów udzielających sakramentów i pociechy religijnej, ludzie przechodzą, ochraniają, przekazują od wsi do wsi, od powiatu do powiatu. Większość księży uwięziono, wywieziono, umieszczono w obozach koncentracyjnych. Niemcy doskonale wiedzą, że księża szli zawsze w pierwszych szeregach antyniemieckiego frontu.

Bandy hitlerowskie zniszczyły przydrożne i polne krzyże, figury i kapliczki przy których modliły się całe pokolenia.

Strzelano z pistoletów do gipsowych Madonn, porozbijano kamieniami Matki Boskie Siewne i Zielne, połupano siekierami Panie pola, lasu i łągu, wyrzeźbione przez sławnych w całym nadobrzeńskim kraju artystów wioskowych, Walentego z Grabonoga, Franciszka Nowaka, Majchrzaka z Karchowa. Na rozstajach, u zbiegu szos, dróg polnych i leśnych, wieloletnia tradycja postawiła wysokie, z solidnych belek zmocowane krzyże. Miały strzec dostępu do wsi, ubezpieczać gospodarzy i dobytek, symbolem Ofiary i Odkupienia odpychać wszelkie diabelstwo, które czyha po nocy, mami ognikami po łąkach, straszy cmentarnym wołaniem sowy – pójdzki. W jesienne noce, kiedy wichura szarpie ramionami krzyżów i skrzypią przeraźliwie wycięte

z blachy wizerunki Ukrzyżowanego, wyobraźnia podsuwa strachy, rodzą się legendy, strach podnosi ludziom włosy na głowach i uporczywie trwa stary zabobon. W pierwszych miesiącach okupacji niemieckie siekiery poobały krzyże u rozstajów. Straszniejsze od dawnych widma zaczęły straszyć na tej ziemi. Chociaż czasem wojenna rzeczywistość ujawniała źródło legend.

W wydawnictwie „Kultura Ludowa Wielkopolski” znaleźliśmy wzmiankę o wydarzeniu z tamtych czasów, które – pamiętamy doskonale – szerokim echem odbiło się wówczas po całej kościańskiej ziemi:

„W Grabonogu pod Gostyniem, nikt we wsi nie odważyłby się przejść wieczorem koło krzyża, który stał na końcu wsi wśród trzech akacji, na rozstaju dróg ku Wielkim Strzelcom i Popowu. Czarny pies jakoby strzegł tego miejsca. Gdy komuś w nocy wypadła tędy droga, obchodził krzyż polem albo szedł opłotkami z głową odwróconą w stronę klasztoru na Świętej Górze. W roku 1940 hitlerowcy wydali nakaz usunięcia krzyża, ścięcia akacji i wyrudowania pni. Spod każdego pnia chłopcy wydobyli po jednej czaszce”.

Miejscowi informatorzy dodają, że między czaszkami odnaleziono rekojęść ułamanej szabli i zjedzony przez rdzę nóż. (Koniec)

ADAM TOMASZEWSKI

Świadectwo numeru

6.

Rozmowa z Hermannem, to początek całej serii dialogów prowadzonych na stacji doświadczalnej. I całej ich skali: od inspirowanych życziwą troską o człowieka, który stał się przedmiotem doświadczeń, aż do gorących sporów o Pana Boga; od spotkań bez słów, – w atmosferze dobroci, do spotkań bez słów – w atmosferze nieludzkiego chłodu. Chłodu – lekarzy z komisji. Lekarzy! Heini ze „swoimi” tę straszną szalę przeważył. Będzie jeszcze o tym słowo. I chłodu człowieka bez serca, naszego blokowego, Ziera, którego, przypadkowo spotkanego na korytarzu, obdarzyłem z wózka, na jakim mnie wieziono, najmilszym uśmiechem, na jaki było mnie stać. Odpowiedź: zimny, bezlitosny wzrok.

Heini był raczej milczący, choć czujny, opiekuńczy i dobry. To nie on jednak dał mi potrzebną radę. Usłyszałem ją właśnie od Hermanna na koniec naszej pierwszej rozmowy: Zastrzyk był niebezpieczny. Doświadczenia będą trudne. Żeby przeżyć, trzeba chcieć żyć i wierzyć, że to jest możliwe. Patrz, tam leży komunista, którego ratujemy ze wszystkich sił – na próżno: nie może uwierzyć, że Hitler nie wygra, nie chce żyć. Jaki kontrast ze słowami dobrego kolegi, który jakimś cudem wpadłszy na stację (jeszcze przed zastrzykiem), powiedział mi: To chyba dobrze, że się tu znalazłeś; na plantacjach jest teraz tak ciężko!

Rozmowy z Franzem – to nie pytanie o Pana Boga, to spór o Niego. Stacja doświadczalna była wstępem. Przedłużyły się potem te rozmowy poza stację doświadczalną, na „Lagerstrasse”. Były z reguły wiedzionym konsekwentnie, spokojnym sporem, wrażliwym na argumenty. Franz przynosił argumenty coraz to nowe. Po długim czasie zacząłem przeczuwać, że to nie o argumenty chodzi. A o co? – Może właśnie o łaskę

22 829 (II)

Publikujemy drugi odcinek wspomnień dachauczyka ks. biskupa Kazimierza Majdańskiego. Tekst pochodzi ze zbiorów ks. kanonika Leona Stępnika z Kościana.



W 2003 r. arcybiskupowi prof. dr. hab. Kazimierzowi Majdańskiemu nadano tytuł Honorowego Obywatela Gminy Łomianki Fot. www.lomianki.pl

wiary, gdzieś zagubioną. – czy z własnej winy? Czy o tym wiedział? – Opowiadał z żarem o zmaganiach hiszpańskiej wojny domowej, o ludziach, którzy mu imponowali i – jakoś prawie uroczyście – o dziewczynie, która mu pewnie zupełnie wyjątkowo imponowała i która żegnała go godnym, czystym pocałunkiem. Tak mówił!

Potem kiedyś, już na przełomie zimy i wiosny roku 1945, Franz przechodził przez dużą izbę rewirową, zapelnioną uzdrowieńcami po przebyciu tyfusie plamistym (następna epidemia w Dachau, która skosiła ogromną ilość spośród tych, którzy jakoś do tego czasu przeżyli); przechodził jako gość: był wtedy „kapo” rewiru w jednym z podobozów. Nie poznał mnie, nawet gdy zawołałem cichym głosem: Franz! – Podszedł do pryczy, z niedowierzaniem zdjął kartę choroby i po chwili:

Przeszedłeś tyfus! Po tamtym... Nie do wiary... Ależ wy, Polacy, macie twardą naturę! No i teraz będziesz mówił, że to Tamten cię uratował. Wskazał w górę.

– Straszne! Przecież dobry, szlachetny człowiek. Ratował razem z Heinim. Próbuje coś mówić. Także to widziałem: Widzisz, Franz, tak źle zawsze wypowiadałeś się o księżach. Pewnie wiesz, że nasi księża poszli na bloki tyfusowe (Wasi stamtąd uciekli): wszyscy zachorują, wielu umrze! – Ci dobrzy umrą, a ci inni wyjdą i będą dalej oszukiwać ludzi. Straszne! Bezsilność argumentów. Bezsilność słów. I opór nie do pokonania. – Tajemnica ukazana już w ewangelii, a jednak w jej obliczu człowiek staje osłupiały. Proszę tych, którzy to czytają: Módlcie się za mojego, wtedy młodego, rozmówcę. Jak pomóc inaczej?

– Bywał też wśród nas mały, szczupły i zupełnie łysy pracownik laboratorium. Pobierał krew co drugi dzień. (To pewnie on zaalarmował potem Heiniego, że grozi mi sepsis). Filozof-agnostyk. Dziwny jest człowiek – mówił. Dziwny dla siebie samego. Gdy zdechł mój ulubiony pies, bardzo to przeżywałem, gdy zaś otrzymałem w obozie wiadomość o śmierci mojego brata, który zginął w innym obozie, przyjąłem to prawie obojętnie.

Dyskusje z laborantem nie były długie. Miał zwyczaj rzucania słów w przestrzeń, tak jakby nie czekał na odpowiedź. Ale skoro mówił, to może czekał. Bardzo zwinny w pracy i pewnie dokładny. Na pewno – przyjazny.

Na ogół – wspominałem – przyjaźni byli oni wszyscy. Gdy namawiali, żeby iść inną drogą życiową niż kapłaństwo, nie było w tym złośliwości: nie rozumieli powołania kapłańskiego, rozumieli własne szczęście rodzinne, za którym tęsknili. Gdy żartowali z o. Czesława Sejbuka (redaktor „Misji Katolickich”),

że jako jezuita należy do „Gestapo Papieża”, nie było w tym drwiny, był swoisty humor. O Sejbuk nie odpowiadał na te żarty i w ogóle prawie nic nie mówił. Czasem się uśmiechał. Było mu bardzo ciężko: umarł z samych odleżyn.

Na głośną radość nie było ani siły, ani ochoty na stacji strasznych doświadczeń, częstych operacji (o. Kasjan Wolak, kapucyn, przeszedł ich co najmniej siedem; podobnie ks. Bączyk i ks. Suski) i – odejść do wieczności. Ale przecież jakiś rodzaj życia „towarzystwa” ogromnie nieśmiało dawał o sobie znać. Niekiedy (bardzo rzadko) jakieś „przeszmuglowane” odwiedziny z bloku. Częściej – naszych sąsiadów przez sień, księży należących do następnej (IV) grupy doświadczeń. Jakoś im było łatwiej, więc czasem zjawiał się, odziany w koc, sąsiad, by coś powiedzieć, coś usłyszeć, popatrzeć. Dialogi z o. Gitschelem, polskim werbistą z „Zimmerdienst”, na ogół nie dotyczyły choroby. Po prostu pomagał, gdy tylko było trzeba, ofiarnie, usłużnie, prosto. I był spowiednikiem – pośrednikiem Dialogu jedyne. I taki jeszcze swoisty dialog miłosierdzia.

Pod sam koniec roku 1942 pozwolono na otrzymywanie przesyłek żywnościowych. Pozwolenie w obozie głodowej śmierci – zupełnie niewiarygodne. Zaczęły docierać pierwsze, nieśmiało zwiastuny na stację doświadczalną, ale adresatem prawdziwych zasiłeków stał się nagle któregoś dnia (chyba w samym końcu grudnia) sąsiad najbliższy, ks. Leopold Biłko. Ks. Gitschel rozpakowywał, ks. Biłko jakoś zdobył siły, by dzielić. Nie pytał głodomorów, które wychodziły z różnych kątów rewiru, nie wiadomo jak zwabione: może samym – od dawna zapomnianym – zapachem zwykłego normalnego chleba. Nie pytał, rozdawał. Co? – Na pewno coś więcej niż kromkę chleba czy kawałek wędliny: radość, nadzieję, własne serce. Na koniec powiedział do mnie: Dla nas właściwie już prawie nic nie zostało. I po namyśle: Ale widzisz, mieliśmy w Seminarium takiego ojca duchownego, który radził: Jeżeli będzie ci żal czegoś dać, daj natychmiast.

Nie zostałem uratowany przez Heiniego tylko ja sam. Po wyzwoleniu wyszło na jaw, że Heini uratował także ks. Biłkę. Samarytanin Samarytanina. Dziwne rzeczy działy się niekiedy

na stacji doświadczalnej. Dziwne i wielkie. Heini – wspominałem – człowiek raczej milczący, a przecież człowiek prawdziwego dialogu. Dialogu nie słów: dialogu pełnej serca troski. Nielekarz przechylił szalę, obciążoną przez nieludzkich lekarzy zimną obojętnością. Tak wchodzili na salę skondensowanego cierpienia. Niekiedy mówili o jakichś swoich bieżących sprawach. Zupełna obojętność wobec człowieka – numeru, wobec człowieka – królika doświadczalnego. Heini przechylił tę szalę czując troską o człowieka; troską zdolną – jak się okaże – do podjęcia ryzyka najwyższej ofiary.

Nic z sentymentalizmu w tym człowieku, a przecież jakaś czułość matki. Taki w spojrzeniach, w krótkich, urywanych słowach i w serdecznym oburzeniu na potwornie upartą flegmonę. Taki w trosce o wszystkich chorych i o wzorową posługę pielęgniarki. Zawsze bezpośredni, zawsze czuły (naprawdę pielęgniarka, choć podobno „w cywilu” rzemieślnik), chętnie pytający, nigdy nie czyniący złośliwych uwag pod adresem religii (czego w obozie było pełno), ani też nie manifestujący swoich przekonań: mówiono, że jest socjalistą. Heini zatroskany – tak go widzę dotąd. Dialog stałej troski wywołał później, w chwili decydującej: życie czy śmierć, krótki dialog słowny. Właśnie ten dialog ukazał w pełni cenę troski Heiniego o człowieka. Ale trzeba wrócić do jakiegoś ładu chronologicznego. Ukazuje ten dialog na wyraźniejszym tle. A także i dialogi inne.

7.

Pierwsze chwile doświadczeń – okresu, który trwał ponad 5 miesięcy – trzeba zanotować nieco dokładniej. Jak? Każdy dzień – historia. Trzeba ją jakoś streścić. Od początku zaczęło się groźnie. Stwierdziła to urzędowo „wysoka komisja” ze „Sturmbahnführerem”, dr Schützem na czele. Była ich – członków komisji – cała gromada, na ogół oficerowie SS, ale także cywil, podobno profesor z Berlina. Przychodzili codziennie. Schütz dyktował, ks. Steinkelderer, więzień, Austriak, miał obowiązek dokładnie notować. Wysoka komisja zatrzymała się nieco dłużej przy „18B”. Stwierdziwszy groźny stan zapalny, widoczny na całym udzie, zdecydowała: Nie stosować incyzji (chi-

rurgiczne przecięcie ciała – dop. red.), zaczeć i obserwować dalszy rozwój w ciągu 8 dni. Czekano. A doświadczany – doczekał. Była pierwsza incyzja. Po przebudzeniu z narkozy – cała noga w szynie, obandażowana stosem ligniny. W czasie pierwszego opatrunku (opatrunki odbywały się najpierw pod wodą), była możliwość zobaczenia drenów i odcucia, jakie kosztowne jest drenowanie ludzkich mięśni: opatrunki były okrutne. Spozstrzegalem SS-manów zamykających oczy. Bolało.

Dotkliwiej bolało nawet już wtedy, gdy tylko czyjeś przejście obok łóżka wywoływało drganie podłogi. Ostrzegano: Niech żadna kropła ropy nie dostanie się do wnętrza organizmu, bo zabije. Jak by to było możliwe, skoro nie można było wykonywać żadnych ruchów? Ropowica bardzo była uparta, więc incyzje były jeszcze dwie. – Nie wiem, kim byli SS-mani, którzy je przeprowadzali. Może praktykujący chirurdzy. Trzecią incyzję przeprowadził autentyczny chirurg, Polak, dr. Czarkowski. Umieralność w obozie zaczęła bowiem być tak wielka, że dopuszczono do rewiru autentycznych lekarzy – więźniów. To już wiele. Ale jeszcze więcej: zawsze był obecny Heini. I on budził. Czy zawsze? Nie mogę już dziś ręczyć. Ale pamiętam przebudzenie z operacji najboleśniej przeżytej: budził z optymizmem, uśmiechnięty i coś tam miłego mówiący. Choć przecież na ogół uśmiechał się oszczędnie i mówił oszczędnie.

8.

A obok cierpieli i umierali członkowie III grupy doświadczanych (w międzyczasie dowiedzieliśmy się bowiem, że jesteśmy grupą III; do grupy I – należeli Żydzi, wszyscy zmarli; do II – zawodowi przestępcy – podobno dwóch ocalało). To właśnie gdy – wśród straszliwego „Schüttelfrost” – zmarł mój najbliższy sąsiad, ks. dr Józef Kocot, profesor filozofii w Seminarium OO. Oblatów, stałem się sąsiadem ks. prałata Leopolda Biłki. Łóżka przylegały do siebie, a pod poduszką mojego sąsiada, wspaniałego kapłana, znajdowało się od jakiegoś czasu blaszane pudełeczko, a w nim – Najświętszy Sakrament. Codzienny pokarm w małej partykule i regularna spowiedź święta.

Bo na strasznej stacji doświadczalnej znalazł się też właśnie krzątający się wśród naszych łóżek kapłan: kochany o. Gitschel. Należał – wspominaliśmy – do „Zimmerdienst” (odpowiednik usług salowych) i spełniał cicho i ofiarnie wszystkie najniższe posługi, by móc spełniać także posługi najwznioślejsze: spowiadać i troszczyć się o Ciało Pańskie.

Była kiedyś niedziela jakiejś wielkiej ciszy: niedziela umierania holenderskiego pastora, Tundermanna. Próbowano zaradzić: zameldowano przypadek dyżurującemu lekarzowi – SS–manowi. Przyszedł i kazał odślonić: całe ciało było żółte jak wosk (widziałem dokładnie, wózek z umierającym ustawiono naprzeciw mojego łóżka). Heini proponował: Może „Tibatin”? Może jeszcze uratujemy? – Jaka grupa? – Padło w odpowiedzi pytanie. – Grupa „B”. – Zostawić!

Bezsensowne, zbrodnicze doświadczenie musiało dobiec końca. Precyzja – „przykazanie” bardzo doniosłe! Ale coś tę precyzję popsuło. Stało się jasne: „Drogi moje, nie drogi wasze”. Widzialnie zaś popsuł regularną precyzję strach wysokiej komisji przed epidemią: bardzo kosztowne jest własne życie, gdy się bezlitośnie morduje cudze. A w obozie wybuchła właśnie epidemia tyfusu brzuszego. Komisja zawiesiła więc swe czynności.

Wraz z tą wiadomością – z bliska i drugą – z daleka: o Stalinogradzie, nadszedł Nowy Rok 1943.

Nie czulem się ani gorzej, ani lepiej: skutecznie w dniu 11 listopada (właśnie w tym dniu!), wraz z innymi unieruchomiony królik doświadczalny – polski kleryk. Nie było rozpaczy, był przecież Pan Bóg. Zapotrzebowanie na modlitwę – zawsze. Największe – przed operacjami – incyzjami. To przecież jakby odchodzenie. Przed trzecią, chyba najgroźniejszą, udało się sprowadzić ks. Steinkelderera (to właśnie ów austriacki, godny kapłan, który był sekretarzem wysokiej komisji); już na wózkach, w sposób dyskretny, udzielił mi Ostatniego Namaszczenia (proszę darować dawną nomenklaturę: jest ona tutaj na miejscu). Wśród pobożnych rozważań bardzo też prosiłem Matkę Najświętszą, by ocalała. Powiedziałem Jej, że jeżeli to uczyni, jakoś pielgrzymuję do Niej, na Jasną Górę. – Takie marzenie niesione wia-

ra! Więc nie było wcale złe. Tym więcej, że wysoka komisja zupełnie już od dłuższego czasu przestała przychodzić.

9.

Kilka dni po Nowym Roku przyszedł do mnie jednak Heini Stöhr bardzo zafrasowany. Wręcz złorzeczył mojej upartej flegmonie. Odszedł, by za chwilę znów wrócić. Towarzyszył mu właśnie Franz. Obaj, po krótkiej naradzie, przenieśli mnie na wózek i zawieźli do oddziału znajdującego się w najbliższym sąsiedztwie. Oddziałem kierował bardzo młody Czech, Zdenek Zamečnik, najwidoczniej zaufany Heiniemu.

Na wstępie rozmowa – dialog decydujący. Moim rozmówcą był wyłącznie Heini. Inni słuchali. Powiedział: Jest z tobą źle. Grozi ci sepsis. Chciałbym cię uratować, ale masz obowiązek milczeć o tym najzupełniej, bo gdyby sprawa wyszła na jaw, mnie zdejmą głowę, a ty zginiesz.

– Za milczenie rękę. Ale powiedz, czy są jakieś szanse? To dla mnie przecież ważne.

– Popróbujemy. „Tibatin” okazał się w wielu przypadkach skuteczny. Będziemy ci dawać zastrzyki. Zaraz otrzymasz pierwszy. Koniec rozmowy i działanie. Krótkie mogą być dialogi decydujące o życiu.

Ponowiono zabieg wielokrotnie. Dyskrecja panowała zupełna. W całej stacji doświadczalnej – zaskoczenie, gdy po niedługim czasie przestano mi robić niekończące się opatrunki i wreszcie – zdjęto szynę. Nie do wiary! W sumie pobyt na stacji trwał jeszcze długo, ale był spokojny. Spokój – okupiony epidemią. Nie przychodziły też kontrole. A bywały upiorne, bo groziły wciągnięciem nas wszystkich na t.zw. „listę inwalidów”, a więc – do komory gazowej. Logiczne. Kto by ryzykował zachowywanie przy życiu świadków tak potwornych zbrodni?

A przecież zostali zachowani ci, którzy przeżyli. – „Myśli moje, nie myśli wasze...”

10.

W roku 1975 w Monachium ocalałych składali zeznania przed sądem. Biskup polski zeznał całą prawdę, ale zbrodniarzowi Schützowi (cenionemu lekarzowi

w Essen–Bredeny) wobec zdumionych świadków przebaczył. Dlaczego zdumionych? Czy mógłby nie przebaczyć? Teraz też świadectwo, w 42 lata po tamtych wydarzeniach (znowuż: nie do wiary!). Świadectwo o Heinim – jakże odmienne! Kim jest człowiek! Jakie są jego możliwości? Jaka ich niepojęta skala! Heini i dr Schütz.

Chciałem się zobaczyć z Heinim po wyzwoleniu. Nie zdołałem. Posyłałam, na adres jego wieczności, Jezusowe słowa: „Coście uczynili jednemu z tych braci moich najmniejszych, to Mnie...”

A ten drugi? – Niech mi zostanie wybaczone, że jeszcze o nim wspomnę. Nie dla kontrastu. Raczej dla trudnego poszukiwania ukrytej prawdy o człowieku. Dr Schütz nie chciał puścić ze swych dłoni mojej prawicy, gdy na sali sądowej powiedziałem: Przecież możemy spojrzeć sobie w oczy! I szepotał: Musiałem. Ale czyniłem mniej niż musiałem...

Czy zbrodniarz nie należy do najbiedniejszych istot, jakie nosi ta ziemia? – Osądzić to jest w stanie tylko nieskończone Miłosierdzie Boże. „Dives in misericordia” – prawda na nasze trudne, splątane gigantycznymi zmaganiem Zła z Dobrem, czasy.

„Coście uczynili jednemu z tych braci Moich najmniejszych...” Dr Schütz pokornie wyrzekł się swojej przeszłości. Heini zasłużył na miano sprawiedliwego. Miejsce tu na cały cytat ewangeliczny: „Wówczas zapytają sprawiedliwi: „Panie, kiedy widzieliśmy Cię chorym lub w więzieniu i przyszyliśmy do Ciebie? A Król im odpowie: „Zaprawdę, powiadam wam: Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili”. (Mt 25,37.39–40).

I kto powie, że to nie łaska bardzo wielka być kiedyś w życiu „bratem najmniejszym”? (Koniec)

KAZIMIERZ MAJDAŃSKI

*) Kazimierz Majdański urodził się 1 marca 1916 r. w Małgowie. Aresztowany przez Gestapo spędził pięć lat w obozach hitlerowskich w Sachsenhausen i w Dachau. Był teologiem, w latach 1979-1992 biskupem szczecińsko-kamieńskim. Zmarł 29 kwietnia 2007 r. w Łomiankach.

Szlakiem Wielkiej Niedźwiedzicy

Jest rok 1945. Ziemia Lubuska, Świebodzin, a właściwie Schwiebus. Ludzi chętnych na wyjazd na pionierski wyjazd na Ziemię Odzyskaną nie brakuje. Mało kto zdaje sobie sprawę z tego, że tam panuje jeszcze chaos; że trwa „wędrówka ludów”. Rzeczywistą władzę sprawują wojenne komendy sowieckie; na miejscu pozostali nieliczni autochtoni, niektórzy z nich nieświadomi dalszego biegu wydarzeń wracają do domów z ucieczki; jest już polska grupa operacyjna, tworząca nową administrację; przybyły pierwsze transporty przesiedleńców z Kresów Wschodnich. W lasach grasują grupy Wehrwofu, w miastach i wioskach pojawiają się rodzimi szabrownicy, rabunek na szeroka skalę prowadzą jednostki sowieckie. To nie jest romantyczna sielanka.

Oczyrna Niemki

Margarete Rothe – Rimpler, Niemka ze Świebodzina, wydała w 1975 roku w Monachium książkę i zatytułowała ją „Schwiebus Stadt und Land in deutscher Vergangenheit” [Miasto Świebodzin i okolica w niemieckiej przeszłości]. Wywodziła się ze znanego rodu właścicieli fabryki włókienniczej i w 1945 roku – jako dziewczyna – pozostała w mieście, niejedno przeżyła i niejedno widziała.

Rosjanie wkraczają do miasta 31 stycznia (do Kościoła 27 stycznia). Nastaje sądny dzień – zabójstwa, pożary, spustoszenie. Ze wspomnień Margarete:

„(...) Cywile są rozstrzeliwani z byle powodu np. przy odmowie podania godziny czy kobiety sprzeciwiające się gwałtom. Pijani, rozwrzeszczani, pładujący, zawsze z bronią gotową do strzału Rosjanie sprawiają, że miasto jest niebezpieczne. Nie ma prądu, wody i gazu. Rosjanie, pładujący domy wieczorem, wrzucają zapalone zapalki i domy stają w płomieniach; szczególnie mieszkania, w których zostają znalezione portrety Hitlera, emblematy partii, portrety żołnierzy – są podpalone. Codziennie widać czerwoną lunę na wieczornym niebie(...)”.

W kwietniu przybywa do Świebodzina pierwsza grupa Polaków, 8 maja Trzecia Rzesza kapituluje, a od 28 maja zjawiają się rodziny niemieckie, które w styczniu z wózkami ręcznymi opuściły miasto.

„(...) Są wstrząśnięci zastanym widokiem. Polacy wypędzają wszystkich Niemców z ich własnych domostw w Świebodzinie i w wioskach. Wszystkich nas ogarnia jeszcze większy, paraliżujący strach. Kto przecierpiał te miesiące pod okupacją, nieudaną emigracją, kto przeżył pieszą ucieczkę i taki też powrót, tyle trudu i niedostatku, ten wierzył, że będzie mógł pozostać w rodzinnym mieście. Nic z tego (...)”.

Wspomnienia Margarete Rothe – Rimpler są subiektywne. Nie ma w nich przekleństw rzucanych w 1945 roku przez Niemców na Führera; nie ma obozów koncentracyjnych, nie ma prób uznania niemieckich win i potępienia zbrodni; nie ma wzmianki o tym, że specjalne oddziały Wehrwofu długo jeszcze zbrojnie nękały Ziemię Lubuską w nadziei na przywrócenie jej niemieckim. Autorka maluje prosty obraz: bardzo źli Rosjanie, mniej źli Polacy, a na drugim biegunie biedni, wypędzeni, prześladowani Niemcy. Tak to już jest, że doznane krzywdy pamięta się lepiej od krzywd wyrządzonych, choćby te drugie były nieporównanie większe.

Wizja starosty

Starosta kościański Karol Fischbach miał wyraźną wizję udziału powiatu w zasiedlaniu tak zwanych wtedy Ziemi Odzyskanych lub Ziemi Zachodnich. Zaczął od spraw organizacyjnych czyli od utworzenia placówek, które miały

zająć się przyjmowaniem repatriantów z Kresów Wschodnich, a także formowaniem transportów ochotników – osadników. Pełnomocnikiem swoim uczynił zastępcę przewodniczącego Powiatowego Komitetu Opieki Społecznej, zarazem wiceburmistrza Kościańska Stanisława Bucherta. Z jego to pomocą zdołał włączyć do pomocy lokalne ogniwa Polskiego Czerwonego Krzyża, Polskiego Związku Zachodniego i miejscowy dziennik „Biuletyn Informacyjny”. 4 kwietnia 1945 roku powołano w Kościanie punkt etapowy Państwowego Urzędu Repatriacyjnego. Ulokowano go w barakach po obozie dla jeńców angielskich i francuskich przy ul. Piaskowej, a także na dworcu kolejowym.

30 maja pod przewodnictwem starosty Fischbacha utworzono Kościański Komitet Przesiedleńczy, który zajął się wyłącznie osadnictwem Ziemi Zachodnich. 5 czerwca w „Biuletynie Informacyjnym” napisano m.in.:

„Prasa całej Polski, tak codzienna jak i literacka, podkreśla konieczność sumiennej i obfitej kolonizacji Ziemi Zachodnich. Słusznie piszą niektórzy publicyści, że ziemi te nie nabiorą charakteru polskiego bez Polaków. Toteż wszystkie miasta wojewódzkie otrzymały miasta i województwa do zorganizowania (np. Kraków otrzymał Wrocław), a duża część powiatów otrzymała już miasta powiatowe wraz z okręgami. Statystycznie rzecz jeszcze nie da

Kronika zwykłych przypadków (4)

To jest dokument tamtych czasów. Akcja toczy się w 1946 roku. Tekst powstał w oparciu o raporty Komendy Powiatowej Milicji Obywatelskiej i dokumenty Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Kościanie, zachowane w archiwum poznańskiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej. Wzbogacono go o relacje i prywatne notatki byłych funkcjonariuszy. Tytuł ma swoje źródło w wypowiedzi jednego z nich: „To wszystko, to były zwykłe, powojenne przypadki”.

25 czerwca

Worek. Trwała oktawa Bożego Ciała. Pod wieczór z kaplicy Pana Jezusa w Kościanie wyruszyła procesja, okrążyła Plac Wolności, by powrócić do kaplicy. Jej przebieg zakłócił radioweżel, którego uliczne głośniki rozmieszczone były m.in. wzdłuż trasy procesji. W protokołach milicyjnych odnotowano, że „z głośników leciały skoczne polki i oberki, co przegłuszało modlitwy i śpiewy pobożne”. Na dodatek „wszystko odbywało się w wielkim chaosie”, bo milicjantom zakazano regulowania ruchem. Następnego dnia w lokalnym dzienniku „Biuletyn Powiatowy” napisano:

„Pewne zdziwienie i ogólne poruszenie wśród wiernych wywołał fakt przeszkadzania procesji przez tutejszy Radioweżel, który nadawał – akurat w uroczystym i nabożnym momencie – różne oberki. Organ porządku i bezpieczeństwa winny dbać o odpowiednie regulowanie ruchem wszelakiego rodzaju pojazdów. Uniknie się wtedy niepotrzebnego przeszkadzania w nabożeństwie”.

Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego, wyjaśniając sprawę ustalił, że krytyka prasowa jest nieuzasadniona i świadczy o braku znajomości sprawy, bo wszystko odbywało się w najlepszym porządku, „ruchem kierowali wzorowo członkowie ORMÓ, a w radioweżelu nastąpiła awaria techniczna i aparatury nie dało się wyłączyć”.

* Tego samego dnia do Kościana zjechał Specjalny Sąd Karny z Poznania. W czasie publicznej, pokazowej rozprawy miał osądzić winę kierownika miejskiego ogrodu w latach 1939 – 1945 Arnolda Kruschke. Prokurator Alfons Lehman, opierając się na materiałach zgromadzonych przez funkcjonariuszy UB, zarzucał ogrodnikowi, że „za czasów okupacji niemieckiej w powiecie kościańskim, idąc na rękę władzy okupacyjnej działał na szkodę ludności cywilnej przez to, że należał do SA (Sturm – Abteilungen), a więc organizacji mającej na celu

JAK BĘDĄ GŁOSOWALI WSZYSCY UCZCIWI POLACY
Kartka do Głosowania Ludowego

a) Czy jesteś za zniesieniem Senatu? **TAK**

b) Czy chcesz utrwalenia w przyszłej konstytucji ustroju gospodarczego, zaprowadzonego przez reformę rolną i unarodowienie podstawowych gałęzi gospodarki krajowej, z zachowaniem ustawowych uprawnień inicjatywy prywatnej? **TAK**

c) Czy chcesz utrwalenia zachodnich granic Państwa Polskiego na Bałtyku, Odrze i Nisie Łużyckiej? **TAK**

Pouczenie dla głosującego
Po każdym pytaniu napisz odpowiedź: „tak”.
Zamiast wyrazu „tak” możesz postawić krzyżyk.
Kartę włóż do koperty i oddaj przewodniczącemu Komisji.

Wskazówka wyborcza w „Biuletynie Powiatowym” z 24 czerwca 1946 r.

W zbiorach autora tekstu.

dokonywanie na Polakach zabójstw, rabunków i kradzieży, czym wzmocnił potencjał tego związku przestępczego”. Powiało grozą, a nad miastem pojawiło się widmo szubienicy, bo prokurator żądał najwyższego wymiaru kary. I wtedy stała się rzecz niespodziewana – kościaniaci, jak jeden mąż, odważyli się stanąć w obronie Kruschkego. Do ostatniej chwili do sądu napływały petycje, listy pochwalne i gwarancyjne. Sprawę prowadził sędzia Jan Szubert i – trzeba to napisać – stanął na wysokości zadania. Wyrok? Uniewinnienie.

Z uzasadnienia wyroku:

„Na podstawie wyników przewodu sądowego ustala Sąd następujący stan faktyczny. Oskarżony był obywatelem polskim narodowości niemieckiej i uzyskał podczas okupacji wykaz II grupy VD (według DVL to jest niemieckiej listy narodowej – dop. J.Z.). Był kierownikiem ogrodu miejskiego i przyjął czasami około 160 Polaków do pracy, o którą go prosili. Był dla nich zawsze przychylnym i rozmawiał nawet przy apelu tylko po polsku, za co niejednokrotnie się narażał na przykrości ze strony władz niemieckich. Uchronił także swych pracowników przed aresztowaniem za śpiewanie „Jeszcze Polska nie zginęła”, biorąc całą

odpowiedzialność na siebie. Po wstąpieniu do SA nie zmieniło się jego postępowanie względem Polaków, za co został też ze swego stanowiska zwolniony i do wojska zaciągnięty. W danym wypadku wykazany został, że oskarżony nie godził się na program SA, a wręcz przeciwnie zarządzenia te sabotował, a za tym nie okazywał gotowości do popelnienia przestępstw i pomocy okupantowi nie udzielał. Z tych powodów należało oskarżonego uniewinnić, a koszty postępowania karnego nałożyć na Skarb Państwa”.

28 czerwca

Za dwa dni Głosowanie Ludowe czyli referendum. Polakom postawiono trzy pytania: czy jesteś za zniesieniem Senatu; czy chcesz utrwalenia w przyszłej konstytucji ustroju gospodarczego, zaprowadzonego przez reformę rolną i unarodowienie podstawowych gałęzi gospodarki krajowej, z zachowaniem ustawowych uprawnień inicjatywy prywatnej i czy chcesz utrwalenia zachodnich granic Państwa Polskiego na Bałtyku, Odrze i Nisie Łużyckiej? Od dłuższego czasu oficjalna prasa i radio nawoływały do głosowania „Trzy razy TAK”.

Tegoż dnia w „Biuletynie Powiatowym” ukazał się dziwny list Rady Narodowej

Polaków we Francji, wysłany rzekomo 19 maja 1945 roku przez rodzinę K. z miejscowości Sainte Florine w departamencie Górnej Loary do krewnych w Łękach Wielkich, w ówczesnym powiecie kościańskim. Jego tytuł – „Znamienny list Polaków z Francji. Rada Narodowa Polaków we Francji, grupująca 100 tysięcy członków”. List nosił wszelkie znamiona fałszywki, tzw. komunistycznej agitki i napisany był zaskakująco przyzwoitym stylem:

„Kochany Szwagrze i Szwagierko! Donosimy Wam, że list Wasz odebraliśmy, za który serdecznie dziękujemy. Piszecie nam, że chętnie byście się chcieli z nami zobaczyć, bo tyle lat nas żęście nie widzieli. I my z całego serca pragniemy tego samego. Stęskniliśmy się bardzo za Wami i naszą Polską. Jesteśmy rzućeni w obce strony i kto jest temu winien? Czyż u nas w Polsce nie było dosyć pracy, żeśmy musieli szukać chleba zagranicą. Temu wszystkiemu jest winien ten faszystowski rząd, który rządził do roku 1939. Wtrącił nas w nędzę i poniewierkę, a na samym końcu sprzedał Polskę Hitlerowi (...)”.

I dalej:
„My wiemy, że i u Was pozostali jeszcze ci, którzy pragnęliby powrotu tych dawnych czasów przed rokiem 1939. My wiemy, że w Polsce znajdują się jeszcze reakcyjne psy, ukryte w PSL, z panem Mikolajczykiem na czele, którzy pragnęliby zmian dla siebie, a z krzywdą dla chłopów, robotników i pracującej inteligencji. Nie dajcie się Kochany Szwagrze i Szwagierko omamić od tych faryzeuszów i trwajcie przy naszym rządzie robotniczo – chłopskim. Jeżeli wybory mają się odbyć za miesiąc, to śmiało głosujcie „tak!”. Tym samym stwierdzicie, że pragniecie, by nasz cały naród polski prowadził Rząd Jedności Narodowej; Rząd, który jak żeście się sami przekonali, jest naszym robotniczym rządem. Ten rząd sprowadzi do Polski, do naszego kraju, za którym tak tęsknimy, całą emigrację polską (...)”.

Tę wiernopoddańczą korespondencję redakcja kościańskiego dziennika lokalnego opatrzyła obszernym komentarzem, zaczynającym się od zdania: „Otrzymaliśmy list od jednego z naszych abonentów w powiecie kościańskim, który ze względu na jego treść umieszczony w całości”, a zakończonym apelem: „Twardą odpowiedzią dla tych wszystkich będzie nasza postawa obywatelska przy Głosowaniu Ludowym i nieugięta, twarda, trzykrotna odpowiedź TAK!”.

BIULETYN POWIATOWY
WYCHODZI CODZIENNIE z WYJĄTKIEM NIEDZIELI i ŚWIĄT
Nr 146 Kościan-Leszno, piątek 28 czerwca 1946 r. Rok II

RODACY!

W decydujących momentach historii naszej Ojczyzny Naród Polski zawsze wykazywał całkowite zjednoczenie, jeżeli tego wymagało dobro Narodu – wielkość Rzeczypospolitej. Wyrazem tego była Konstytucja 3-go Maja, gdy Naród skupiony wokół króla i sejmu przeciwstawił się samowoli magnaterii, prowadzącej Polskę do upadku, Powstanie Kościuszkowskie, 1831 r., 1863 r., 1905 r., Powstanie Wielkopolskie i ostatnia heroiczna walka na śmierć i życie z krwiożerczym gadem hitlerowskim – wrogiem ludzkości.

Głosowanie Ludowe w dniu 30 czerwca 1946 roku będzie również wielkim aktem. Odpowiedź na trzy pytania postawione przez Rząd Jedności Narodowej zadecyduje o przyszłości naszej Ojczyzny.

W tym decydującym momencie wzywamy wszystkich do wzięcia udziału w głosowaniu ludowym. Odpowiadając na pierwsze pytanie TAK, wypowiemy się za zniesieniem elitarnego senatu opóźniającego odbudowę gospodarczą Polski, hamującego prace Sejmu, Sejmu będącego wyrazem woli ludu. Jednocześnie dajemy pełne poparcie całkowitej suwerennej władzy ludu w Polsce.

Każdy uczciwy Polak – Patriota winien na pierwsze pytanie odpowiedzieć

TAK

Utrzymanie w ręku Narodu wielkiego przemysłu, zapewnienie Polsce niezawisłości gospodarczej, przyspieszenie odbudowy przy jednoczesnym zachowaniu i poparciu przez Państwo inicjatywy prywatnej, oddanie ziemi w twarde ręce tych, którzy ją zrobili krowią i potem – to nasza odpowiedź

TAK

Nie powinien się znaleźć ani jeden Polak, któryby na to pytanie odpowiedział nie. Gehenna Narodu Polskiego pod jarzmem hitleryzmu, męczennictwo i śmierć milionów Polaków odpowiedziała wcześniej na trzecie pytanie

TAK

Naród potwierdził to tylko formalnie, dając odpowiedź wszelkim zakusom na nasze przastare ziemie Piastowskie. Mając na sercu jedynie dobro Polski, utrzymanie jej wielkości, granic i pełnej niepodległości tak politycznej, jak i gospodarczej, wzywamy wszystkich Obywateli Ziemi Kościańskiej do trzykrotnej odpowiedzi **TAK**.

W oparciu o zjednoczony naród wybudujemy dom szczęścia dla wszystkich obywateli.

W dniu głosowania ludowego jedno nasze hasło:

trzy razy TAK

Strona tytułowa „Biuletynu Powiatowego” z 28 czerwca 1946 r.

W zbiorach autora tekstu.

2 lipca

Kościański „Biuletyn Powiatowy” na tytułowej stronie zamieścił dokładne wyniki referendum, dotyczące Warszawy i Łodzi, opatrzone tytułem „Pierwszy etap wygrany. Wyniki Głosowania Ludowego w Polsce”. Danych z miasta Kościana i powiatu kościańskiego nie podano. Zamiast tego umieszczono krytyczny komentarz, a w nim m.in.:

„Na marginesie niedzielnych wyborów nasuwają się nam pewne spostrzeżenia, które musimy z tego miejsca poddać ogólnemu napiętnowaniu. Miasto Kościan uważamy zawsze za miasto czyste polskie – nasze. Byliśmy dumni zawsze z tytułu wywodzącego się z naszego miasta – „kościaniaki”. A co nam wykazało referendum? Że są jednostki, które nie chcą naszych ziem na zachodzie; ziem, które wracają do nas; ziem, po których stąpali nasi przodkowie wyparci teutońskim zaborczym mieczem Drangu nach Osten(...)”.

Z relacji funkcjonariusza UB, zabezpieczającego w Kościanie przebieg czerwcowego referendum:

„Po przeliczeniu głosów przeżyliśmy szok. Dokładnych danych nie pamiętam, alew przybliżeniu w skali powiatu przeciwko Senatowi zagłosowało zaledwie 30%, przeciwko nacjonalizacji i reformie rolnej – 50%, przeciwko granicom zachodnim – 20% ogółu uczestników, a frekwencja była duża, bo przekraczała 80% uprawnionych. Dużo było głosów nieważnych. W propagandzie postanowiono położyć nacisk wyłącznie na krytykę społeczeństwa powiatu za to, że aż tylu ludzi nie chce granicy zachodniej, a im chodziło o to, żeby do Polski wróciły Kresy Wschodnie. Zapadła polityczna decyzja, żeby w Wielkopolsce nie publikować danych powiatowych tylko zbiorcze wyniki krajowe, województwa poznańskiego i wybranych innych rejonów Polski. Powiat kościański zagłosował dwa razy NIE i raz TAK”.

Doświadczenia z referendum nie poszły na marne. Wybory do Sejmu – 19 stycznia 1947 roku bezpieka, także kościańska, „przygotowała” już znacznie lepiej. (Koniec)

JERZY ZIELONKA

Szkółka (3)

Po pewnym czasie panią Olę Irzabek zastąpił pan Jezior. Skończyły się śmiechy – chichy. I zaczęło się odrabianie zaległości. Trochę niestety spóźnione. Pan Jezior usiłował przekonać nas do nauki języka rosyjskiego. Opowiadał między innymi, jak w czasie bezpośrednio po wyzwoleniu Kościana, zagadnął jakiegoś rosyjskiego żołnierza popełniającego coś tam nagannego „Towariszcz nie nada”. Ponoć poskutkowało. Czy była to całkowita abstrakcja? Myślę, że nie. Codziennie przecież obserwowałem z naszego okna na piętrze domu stojącego przy ulicy Poznańskiej, jak dwaj radzieccy żołnierze z pepesami, trzy razy dziennie, kontrolowali przebiegającą przez pola linię telefoniczną.

Pani Zofia Szymanowska. Uczyla historii. Wspaniała nauczycielka i kobieta. Fascynowała mnie i wydaje mi się, że się w Niej, uczuciem chłopca oczywiście, podkochiwałem. Mieszkała w tamtym czasie z rodzicami przy ul. Sierakowskiego. W jednym z takich bliźniaczych bloków. Czasem pozwalała mi odprowadzać się po szkole do swego domu. Za jakimś tam razem, po opowieściach z mojej strony, jak to w moich żyłach płynie indiańska krew, że śmiechem wręczyła mi rzecz dla mnie już wówczas, a co dopiero później, bezcenną. Dziesięć numerów gazety sprzed lat. „Dziennika Powszechnego Krajowego” z 1831 roku. Sprzed 120 laty. Z czasów Powstania Listopadowego.

Dotykałem pożółkłych stron gazety z dni dawno minionych. Powstanie Listopadowe... Jakiegoś tam razu Maryś Przybylski pozwolił mi pomyszkować w dolnej szufladzie komody stojącej w ich jednopokojowym mieszkaniu przy ul. Poznańskiej. A w tej szufladzie znajdowało się kilka roczników przedwojennego „Płomyka” z roku 1930. Myślę, że miesięcznik kupował Jasiu starszy brat Mariana. Marian był przecież na to zbyt młody. Rok 1930 to było stulecie Powstania Listopadowego. Ciągle jeszcze, w tamtych latach, żywe. Listopadowy numer „Płomyka” z 1930 roku poświęcony był w całości tamtym wydarzeniom. „Grzmiały pod Stoczkiem armaty, a Dwernicki dosiadał konia”, dzieci z przełomu lat dwudziestych i trzydziestych penetrowały pobojuwisko pod Ostrołką, porucznik Bem dowodził baterią konnej artylerii, a Piotr Wysocki na długich, lśniących bielą korytarzach Szkoły Podchorążych nawoływał „do bronii”.

W latach późniejszych budziłem w Szkole czasem i podziw znajomością tamtych zdarzeń. A to była tylko i wy-

łącznie fascynacja, fascynacja rozbudzona zawartością komody z ulicy Poznańskiej i gazetami podarowanymi przez panią Zofię Szymanowską. Jeszcze na studiach powodowany tą fascynacją i wspomnieniami w antykwariatach wyszukiwałem wspomnień listopadowych powstańców... Kupowałem je za grosze. Dziś oprawione w bordowe okładki są ozdobą mojej biblioteki. Wspomnienia generałów tamtej wojny, dzieje Wodzów Naczelnych, spisy żołnierzy powstańców, ich groby na cmentarzach Paryża... Generał Bem. Byłem przecież i harcerzem zastępu im. gen. Józefa Bema i żołnierzem 6 Pomorskiej Brygady Artylerii Armat im. Gen. Józefa Bema. Tyle zdarzeń i tyle wspomnień ma swój początek w tamtych szkolnych czasach.

Z panią Zofią Szymanowską wiąże się jeszcze jedno moje wspomnienie. W późniejszych latach wyszła za mąż za Józefowicza, (niestety gdzieś uciekło mi Jego imię) znanego kościańskiego lekkoatletę i członka któregoś z poznańskich klubów, czy nie Olimpij). W ogólniaku i ja próbowałem swych sił w biegach średnich. Momentami zdawało mi się, że nawet jestem w nich dobry. No i raz przyszło mi wystartować w Kościanie między innymi z panem Józefowiczem na 800 metrów. Rzecz nie w tym, że oglądałem jego plecy z coraz to i większej odległości, i że sromotnie przegrałem, ale w lekkości oraz długości jego kroku, w jakieś niezwyklej swobodzie, wspaniałości biegu. To był pierwszy lekkoatleta, wspaniały biegacz, którego widziałem i podziwiałem.

Budziła się z wolna moja miłość do książek. Jeszcze w czwartej klasie, szkoły powszechnej, jak to wtedy mówiono, zapisałem się do wiejskiej biblioteki w Kielczewie. Mieściła się w dwóch pomieszczeniach zajmowanych dziś przez pocztę. Tam wypożyczyłem dwie pierw-

sze książki w moim życiu: „W okopach Stalingradu” i „Ze wspomnień mego dziadka”. Pierwsza dotyczyła obrony Stalingradu w czasie drugiej wojny światowej, a istotną część drugiej stanowiły wspomnienia dotyczące wojny polsko-bolszewickiej z 1920 roku. Nie mogłem treści tych dwóch książek złożyć z sobą, a mimo to czytałem je z równym zainteresowaniem.

Tamta pierwsza moja biblioteka. Trochę ponura z małymi oknami, ciemne pomieszczenia, rzędy książek, okładki które skrywał szary pakowy papier... Jakże im daleko było do barwy dzisiejszych okładek, a mimo to, a może właśnie dlatego budziły nieodmiennie moje zainteresowanie... i w mej pamięci jaśnieją wszystkimi kolorami tęczy. To pod ich wpływem zapragnąłem mieć pierwszą, swoją bibliotekę. Dziś już nie pamiętam, jak przekonałem Ojca, dość, że wstawił on w drzwi starej szafonierki szyby, a tak przerobioną umieścił w naszym jednym pokoju na Poznańskiej między kafłowym piecem a szafą na ubrania. Nad tak przerobioną szafonierką zawiesiłem mały obrazek z Adamem Mickiewiczem i drewnianą szablą. W ten sposób spełniły się moje pragnienia. Ma biblioteka liczy dziś ponad 12 tysięcy książek, zajmuje ściany pięciu pokoi, są wśród nich i „białe kruki”, warte nieraz i wielkie pieniądze, ale w żaden sposób nie dorównują tamtemu księgozbiorowi (może czterdziestu, może pięćdziesięciu książkom) z Poznańskiej ulicy mieszczącemu się w starej, szyfonierce. Czas biegł. Ukończyłem Szkołkę. Z Zosią i Stasiem Przybylskim, nieżyjącym już niestety późniejszym komandorem, kapitanem żeglugi wielkiej, udało nam się dostać do kościańskiego Ogólniaka. Pozostawiliśmy dwa stare budynki z czerwonej cegły na początku Kielczewa, pompę na szkolnym dziedzińcu, piaszczystą



Zdzisław Wojtczak z Zosią Przywecką ze szkolnego zespołu tanecznego na okładce „Przyjaciółki”
Fot. ze zbiorów autora

drogę na wiatraki i wspomnienia... Ruszyliśmy dalej w życiową wędrówkę.

Jak grom z jasnego nieba dopadła mnie wiadomość, że 4 maja 1957 roku, podczas zjazdu związkowego nauczycieli powiatu kościańskiego, na mównicy, w auli kościańskiego Ogólniaka, zmarł nagle na zawał serca Pan Kierownik Wojciech Polak. Był prezesem Powiatowego Zarządu Związku Nauczycielstwa Polskiego w Kościanie. Na mównicy bronił laickiego charakteru szkoły. Bronił bez pardonowo i na fali popaździejnikowych przemian bez powodzenia. Jego słowom i argumentom towarzyszył nieprzychylny szum sali. I ta walka kosztowała Go życie. Całkowity jeszcze smarkacz, nie rozumiejący prawie że nic z tego co się stało, wiedziałem, że muszę

pójść na pogrzeb. Stałem gdzieś z tyłu, na samym końcu, pod kaplicą szpitalną. Ludzi była przeogromna rzesza. I przeraźliwy, przesywający przestrzenie sąsiednich ulic krzyk Pani Kierownik... Mimo upływu tylu lat nie potrafię przedstawić co przeżywałem.

Panią Kierownik – Kazimierę Polak „wysiadano” z mieszkania na pięterku większego ze szkolnych budynków. Zamieszkała na poddaszu budynku przy ówczesnej ulicy Findera, tuż przy kolejowym dworcu. Byłem tam może z dwa razy, gdy z Bogusiem studiowaliśmy wspólnie prawo. Na ścianie wisiało zdjęcie moje i Zosi...

Kazimiera Polak z domu Klimek urodziła się 20 marca 1908 r. w miejscowości Turka nad Stryjem w dawnym

województwie stanisławowskim, z ojca Walentego z zawodu weterynarza i Florentyny z Peruckich. Naukę w zakresie klas od pierwszej do czwartej pobierała w Pensjonacie Sióstr Rodziny Przenajświętszej Marii Panny w Łomnej. Naukę kontynuowała w siedmioklasowej Szkole Powszechnej im. Konarskiego we Lwowie, którą to ukończyła w 1922 roku. W latach 1922–1927 uczęszczała do Państwowego Seminarium Nauczycielskiego. Tam też 11 maja 1927 roku zdała egzamin dojrzałości.

Od 1 września tegoż roku pracowała w szkołach powszechnych w miejscowościach Nowodwór, Wólka Zawieprzycka i Brzeźnica Książęca w powiecie lubartowskim. Na własną prośbę przeniesiona została przez władzę oświatową do województwa poznańskiego i w roku szkolnym 1930/1931 uczyła w Szkole Powszechnej w Szubinie, a od 1 września 1931 roku w Szkole Powszechnej Nr 1 w Chodzieży. Drugi egzamin nauczycielski zdała 10 maja 1932 roku. Na kolejną prośbę została z dniem 1 marca 1936 roku przeniesiona do Szkoły Powszechnej w Kielczewie w powiecie kościańskim. 12 kwietnia 1938 roku wyszła za Wojciecha Polaka, kierownika Szkoły Powszechnej w Kielczewie.

Początek okupacji spędziła, wysiedlona przez Niemców już 8 grudnia 1939 roku z budynku szkolnego w Kielczewie, w Kościanie. Chora i niezdolna do pracy wyjechała do Jasła w województwie krakowskim, gdzie od samego początku okupacji ukrywał się poszukiwany przez hitlerowców jej mąż. W Jasle, wspólnie z mężem przebywali do 15 września 1944 roku. Prowadziła tam indywidualne tajne nauczanie dzieci polskich w zakresie historii i języka polskiego. Po okupacji wraz z mężem przybyła do Kielczewa, gdzie dalej pracowała jako nauczycielka. 1 stycznia 1956 roku przeszła na emeryturę. Zmarła 8 czerwca 1985 roku w Kościanie. Z małżeństwa zawartego z Wojciechem Polakiem miała syna Bogusława urodzonego 3 stycznia 1945 roku. Wojciech Polak urodził się 8 lutego 1902 roku w Wadowicach, z ojca Józefa (rolnika) i Marii z domu Krzapowska. Zmarł 4 maja 1957 roku w Kościanie. Kazimiera i Wojciech Polakowie spoczywają we wspólnej mogile na nowym cmentarzu parafialnym w Kościanie, po prawej stronie Mauzoleum. (Koniec)

ZDZISŁAW WOJTCZAK

Trasy rowerowe wokół zbiornika

Przed trzema i dwoma laty na łamach „Gazety Kościańskiej” ukazywały się artykuły, w których wspólnie z Agnieszką Wróblewską proponowaliśmy czytelnikom wycieczki rowerowe na opisywanych przez nas trasach. Teraz namawiany przez red. Jerzego Zielonkę wracam do tematu. Chcę opisać kilka tras rowerowych osobom wypoczywającym w kościańskim „kuratorcie” czyli Nowym Dębem.

Przed trzema i dwoma laty na łamach „Gazety Kościańskiej” ukazywały się artykuły, w których wspólnie z Agnieszką Wróblewską proponowaliśmy czytelnikom wycieczki rowerowe na opisywanych przez nas trasach. Teraz namawiany przez red. Jerzego Zielonkę wracam do tematu. Chcę opisać kilka tras rowerowych osobom wypoczywającym w kościańskim „kuratorcie” czyli Nowym Dębem.

W czasie, który upłynął od poprzednich publikacji, dwie rzeczy uległy zmianie – na szczęście obie na lepsze: ścieżka rowerowa z Kościana została doprowadzona do Dębca a staraniem

samorządów powiatu kościańskiego oraz wydawnictwa TOPMAPA wydana została mapa turystyczna „Powiat Kościański” i to w skali bardzo przyjaznej rowerzystom i turystom pieszym – 1:50 000. Dzięki tej mapie każdy kto nie wagarował i uważał na lekcjach geografii zaplanuje sobie wycieczki piesze lub rowerowe po naszej najbliższej okolicy. Gorąco namawiam wszystkich, którzy lubią rowerowe (i nie tylko) wędrówki, do zaopatrzenia się w tę mapę. Niewielki wydatek zwróci się już na pierwszej wycieczce. Do pełnego szczęścia turysty brakuje jeszcze wydawnictw, z których on mógłby czerpać wiedzę na temat odwiedzanych obiektów. Wydane

w latach 90 ubiegłego wieku przez oddział PTTK w Kościanie opracowania Włodzimierza Kozłowskiego są dzisiaj praktycznie niedostępne. Może warto pomyśleć o ich ponownej edycji?

Trasy, które proponujemy, prowadzą częściowo po drogach utwardzonych, asfaltowych, ale także po gruntowych różnej jakości. Wybierając się na wycieczkę, zwłaszcza w okresie suszy lub przeciwnie po większych opadach deszczu, należy liczyć się z tym, że nawierzchnia może sprawić nam kłopoty, a czasami nawet „spieszyć” rowerzystę. Przedstawiając poniższe propozycje, życzymy wszystkim wspaniałej, rowerowej pogody i twardego podłoża pod oponą.

TRASA NR 1 Wokół jezior zbiornika Wonieść Tę trasę opisała Agnieszka Wróblewska. „Gazeta Kościańska” z 6 sierpnia 2008 r.

Trasa liczy około 25 km długości i dla osób znających tylko plażę w Dębem będzie dużym odkryciem, że tak pięknie jest po drugiej stronie jeziora. Wycieczkę zaczynamy zjeżdżając z drogi prowadzącej do głównej plaży na drogę asfaltową znajdującą się koło przystanku autobusowego. Jedziemy nią do końca asfaltu i skręcamy w prawo w drogę leśną. W tym momencie wkraczamy na zielony czarny szlak pieszy kościańskiego oddziału PTTK. Znaki tych szlaków będą nam towarzyszyć przez najbliższe trzy kilometry. Po lewej stronie mijamy stanicę Kościańskiego Klubu Żeglarskiego, potem budynek dawnej leśniczówki Gryzinka. Jedziemy drogą leśną, uważając na to, by nie przeoczyć momentu, w którym szlaki zielony i czarny ostro skręcają w lewo; główna droga odbija w tym miejscu w prawo, my zjeżdżamy w prawo w dół.

Za tym miejscem nie ma już żadnych problemów z odnalezieniem oznaczeń szlaków – jedziemy jak po sznurku wzdłuż jeziora. W miejscu, które mieszkańcy Gryziny nazywali kiedyś Piekłem, skręcamy w prawo, w kierunku tej wsi. Teraz droga prowadzi leciutko pod górę. W najwyższym punkcie przystańmy na chwilę, bo z lewej strony mamy piękny widok na jezioro. Potem droga lekko opada i dojeżdżamy do skrzyżowania: znaki zielone prowadzą prosto do Gryziny, my za znakami czarnymi skręcamy w lewo w kierunku ruin kościoła św. Marcina. Został on wzniesiony w końcu XIII wieku. Pozostały po nim mury obwodowe o wysokości około siedmiu metrów zbudowane z granitowych kamieni polnych. Do początku XV wieku wieś otaczała kościół, a potem, z nieznanых powodów jej mieszkańcy przenieśli się na

nowy teren. Z kościołem św. Marcina wiąże się legenda o brzozie gryżyńskiej. Dotyczy dziecka, które uderzyło swoją matkę. Chłopiec zmarł w wieku dziesięciu lat. Zrozpaczona matka pochowała go na cmentarzu koło kościoła św. Marcina. Pewnego dnia zauważono, że z mogiły wystaje dziecięca rączka. Chłopiec prosił w ten sposób o karę za to, że podniósł rękę na swoją matkę. Ta uderzyła jego dłoń brzozową różgą. Rączka skryła się w piasku, brzozową więc posadzono na mogile. Wyrosło z niej piękne, potężne drzewo, które od dawna już nie istnieje, ale w sąsiedztwie ruin zawsze rosną brzozy. Po obejrzeniu obiektu jedziemy dalej drogą polną. Na skrzyżowaniu z asfaltową skręcamy z czarnym szlakiem w lewo, wjeżdżając na zaporę czołową zbiornika Wonieść. Przejeżdżamy przez most na kanale spustowym zbiornika. Po lewej stronie piękne widoki na jezioro, a po prawej



Fragment najnowszej mapy turystycznej powiatu kościańskiego © 2010 Pietruska & Mierkiewicz – Wydawnictwo i Bank Geoinformacji Sp. z o.o.

na łąki i zarośla. Na wycieczkę warto zabrać lornetkę po to, aby „z bliska” przyjrzeć się ptakom wodnym łąkowym, których zazwyczaj tu wiele. Gąsiorek, zimorodek, derkacz, perkoz rdzawoszyi, kania czarna i rdzawa, błotniak stawowy, żuraw – to tylko niektóre gatunki ptaków występujące na obszarze zbiornika Wonieść. Za mostem szlak czarny zakręca w drogę polną w prawo, w stronę Nielegowa, a my jedziemy dalej asfaltem szlakiem niebieskim. Od tego momentu towarzyszą nam też znaki Ziemiańskiego Szlaku Rowerowego (czarna sylwetka roweru na białym tle, pod nią zielony, poziomy pasek).

Po chwili droga asfaltowa skręca w prawo w stronę Gniewowa, ale my jedziemy nadal prosto wjeżdżając na drogę gruntową i jadąc nią wzdłuż jeziora w stronę Wonieścia. Droga wiedzie nas na grzbiet wału. Roztaczają się stąd piękne widoki na jezioro. W pewnym momencie szlaki niebieski i Ziemiański odbijają w prawo na drogę z płyt betonowych, my jedziemy jeszcze kawałek prosto, po czym zjeżdżamy w prawo w dół wąską ścieżką i wjeżdżamy do parku, którym znajduje się pałac zbudowany w 1900 roku dla rodziny Wedemeyerów. Od wielu lat mieści się tutaj oddział ko-

ściańskiego szpitala neuropsychiatrycznego. W parku znajduje się wiele ciekawych okazów drzew. Około 200 metrów za pałacem można zobaczyć dwupienną lipę z krzyżem i kapliczką. Wyjeżdżamy z kompleksu przez pałacową bramę i kierujemy się do centrum wsi, widząc przed sobą kościół św. Wawrzyńca. Przy bramie stoi figura świętego. Pierwotnie był to kościół gotycki, wzniesiony w XV wieku. W wieku XIX rozbudowano go o nową i wysoką, neogotycką wieżę. Wyposażenie wnętrza pochodzi z tego samego okresu, a w 1950 roku zostało wzbogacone o polichromię

Witolda Gosienieckiego. Na wysokości kościoła skręcamy w lewo, wracając na szlak Ziemiański. Po prawej stronie mijamy cmentarz i jedziemy w dół, opuszczając Wonieść.

Po lewej stronie, między pięknymi sosnami przezierną już Jezioro Jezierzycie. Będziemy mieli na nie jeszcze piękniejszy widok, gdy wyjedziemy z lasu. Docieramy do Jezierzyc. Po lewej stronie, nad jeziorem, znajduje się kąpielisko. My jedziemy nadal prosto. Przejeżdżamy po zatopionych w asfalcie szynach, stanowiących jedyną pozostałość po dawnej kolejce wąskotorowej Stare Bojanowo – Krzywiń, którą jeszcze w latach 80 można było dojechać prawie do Zglińca. Tuż za nimi możemy na chwilę skrócić w prawo i niewyraźną polną drogą

wjechać pod górkę docierając do pola, na którym znajduje się okazały głaz narzutowy. Po lewej stronie drogi znajduje się piec chlebowy. Opuszczamy wieś i jedziemy nadal prosto drogą asfaltową, towarzyszą nam znaki szlaku niebieskiego. 1700 metrów za Jezierzycami, blisko Zglińca, szlak niebieski skręca w prawo w drogę leśną. Trudno jednak dostrzec odpowiednie oznaczenie. Także w lesie znaki szlaku niebieskiego mają kolor granatowy, prawie czarny; tylko na jednym drzewie można zobaczyć stary, zamazany znak w kolorze niebieskim. Poza tym jest to bardzo miły odcinek, przemierza się go z dużą przyjemnością. Po dotarciu do drogi asfaltowej skręcamy w lewo (odbijając w prawo, dojechalibyśmy do Witosławia).

Przejeżdżamy między jeziorami Wojnowickim i Witosławskim. Po prawej mijamy łowisko specjalne Polskiego Związku Wędkarskiego w Poznaniu. Docieramy do Wojnowic, przejeżdżamy przez wieś i dojeżdżamy do dość ruchliwej drogi nr 432 Leszno – Śrem. Skręcamy w lewo, za łukiem drogi wjeżdżamy na chodnik znajdujący się po lewej stronie. Po chwili skręcamy w lewo w stronę Nowego Dębca i jedziemy drogą asfaltową wzdłuż wschodniego brzegu zbiornika Wonieść. Przejeżdżamy most na kanale Obra – Samica, tu często są organizowane konkursy wędkarskie. Docieramy do Glińca i jedziemy nadal prosto. Po pokonaniu czterech kilometrów znajdziemy się na głównym skrzyżowaniu w Nowym Dębcu. Zjeżdżamy wówczas w stronę plaży, wracając do punktu wyjściowego wycieczki.

TRASA NR 2

Nowy Dębiec – Zgliniec – Czerwona Wieś – Krzywiń – Świńca – Wławie – Gryżyna – Nowy Dębiec

Trasa liczy około 31 kilometrów. Wyjeżdżamy z wczasowiska kierując się w stronę wsi Nowy Dębiec. Towarzyszą nam czarne znaki szlaku pieszego kościańskiego oddziału PTTK. Po dojechaniu do drogi Racot – Wojnowice skręcamy w prawo (tak jak znaki szlaku) w stronę Zglińca. Po chwili znaki szlaku opuszczają szosę, kierując się na prawo w stronę Starego Dębca. My jedziemy dalej prosto, mijając folwark Polesie dojeżdżamy do Zglińca. Krótco przed tą wioską znaki czarne wracają od prawej strony na szosę i odtąd będą z nami aż do Krzywinia. W Zglińcu w miejscu, w którym z prawej strony dochodzi droga z Jezierzyc, skręcamy w lewo, zjeżdżając z asfaltu w drogę gruntową. Ta prowadzi nas najpierw wśród łąk i pól, a potem lasów, w stronę Czerwonej Wsi. Jedziemy teraz trasą, którą przed laty można było jeździć kolejką wąskotorową ze Starego Bojanowa do Krzywinia. Niestety, pozostały po niej dzisiaj tylko wspomnienia. Najpierw skrócono jej trasę do lasu pod Zglińcem, a później odeszła całkowicie w niebyt.

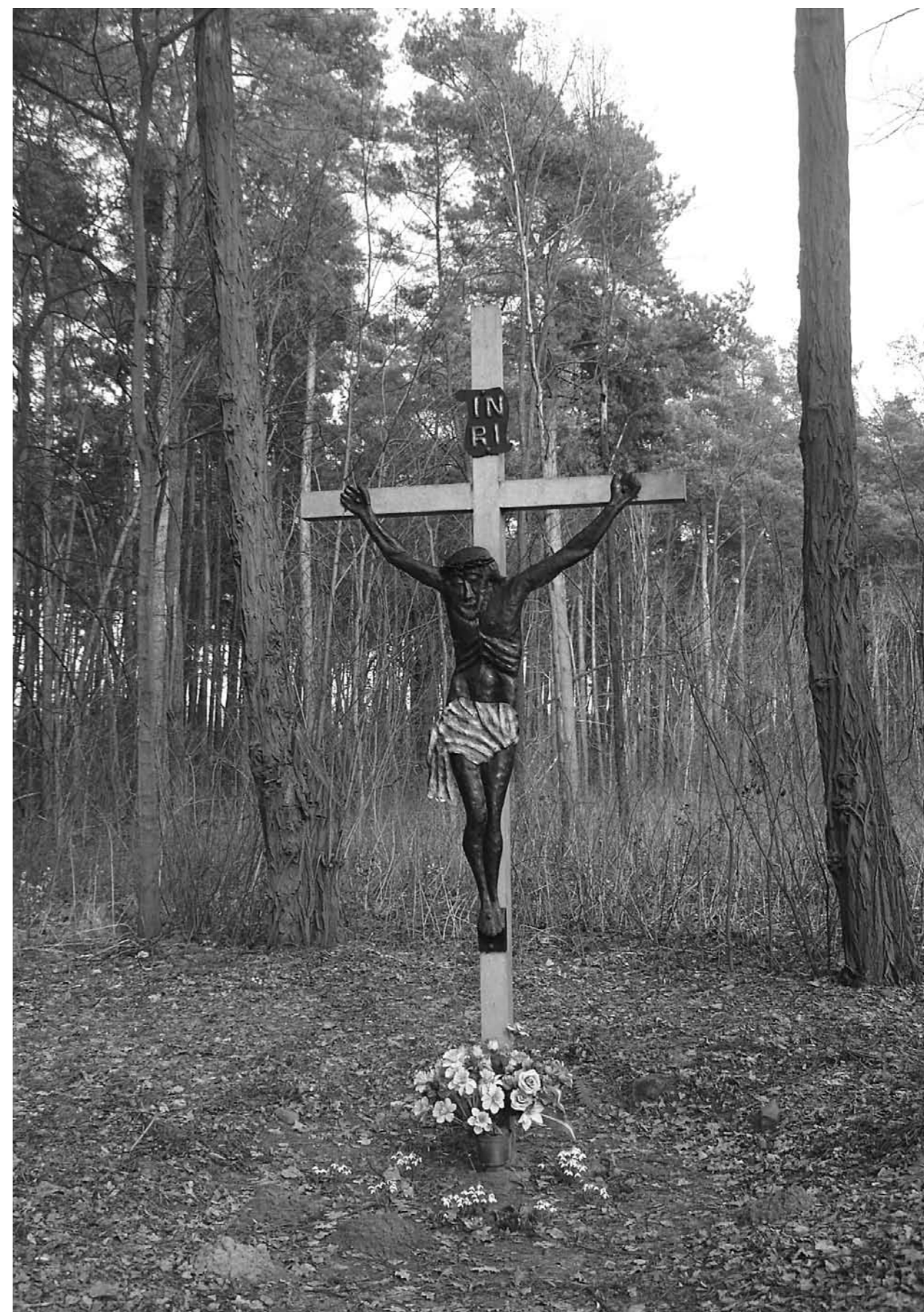
Z lewej strony, w odległości kilkuset metrów od naszej trasy, pozostawiamy rezerwat „Czerwona Wieś”, w którym chronione są coraz rzadsze okazy jałowców. Wygodnym, leśnym duktem dojeżdżamy do leśnych dróg. Jedziemy nadal prosto i zaraz na rozwidleniu wybieramy prawą nitkę. Po chwili mijamy stojący w lesie krucyfiks z blaszaną figurą Chry-

stusa. Za niedługo szlak wyprowadza nas na szosę asfaltową, która prowadzi do Czerwonej Wsi. Włączając się do ruchu, należy zachować szczególną ostrożność. Po chwili Czerwona Wieś. Po prawej widać pałac późnoklasykistyczny z 1845 r. zbudowany w stylu włoskiej willi dla Stanisława Chłapowskiego według projektu Karola Württemberga. Ciekawostką jest fakt, że urodzili się tutaj Franciszek Chłapowski – profesor medycyny Uniwersytetu Poznańskiego oraz Karol Chłapowski, późniejszy mąż Heleny Modrzejewskiej. Jedziemy dalej zbliżając się do kościoła parafialnego pod wezwaniem św. Idziego. Pierwotny kościół powstał w pierwszej połowie XIII wieku z fundacji Awdańców. W 1778 roku z fundacji Ludwika Chłapowskiego dobudowano od zachodu obecną nawę, dawną nawę zamieniono na prezbiterium, a dawne prezbiterium na zakrystię. Wewnątrz zwracają uwagę m.in. tablice epitafijne Chłapowskich. Groby przedstawicieli tej rodziny znajdują się także na przylegającym do kościoła cmentarzu. Na cmentarzu jest też wzniesiony w roku 1970 pomnik Powstańców Wielkopolskich. Na wysokości kościoła opuszczamy asfaltową szosę, zjeżdżając z niej w lewo, w drogę gruntową. Dojeżdżamy do figury Matki Boskiej, w pobliżu której znajduje się głaz z dwujęzycznym, polskim i niemieckim napisem głoszącym: „Ku pamięci zmarłego Friedricha W. Wittiga*

18.04.1882 – + 18.01.1945 zarządcy majątku Czerwona Wieś (1941 – 1945) przyjaciela Polaków. 8 maja 2005”.

Przy figurze Matki Boskiej skręcamy w prawo i jedziemy polnymi drogami (cały czas za znakami czarnymi), żeby w Bożej Woli włączyć się do ruchu na szosie asfaltowej prowadzącej w stronę Krzywinia (droga nr 432 – pamiętajmy o zachowaniu ostrożności). Po kilku minutach osiągamy Krzywiń. W tym wzmiankowanym już w 1232 roku mieście warto zwiedzić kościół parafialny pod wezwaniem św. Mikołaja, zbudowany z fundacji benedyktynów z klasztoru w Lubiniu. Prezbiterium kościoła powstało około 1450 roku, a nawę dobudowano po roku 1515. W Krzywiniu można zobaczyć także dwa wiatraki – koźlaki, w tym pięknie odrestaurowany stojący przy drodze do Gryżyny. Na uwagę zasługuje także rynek z ratuszem z 1905 roku, figurą św. Wawrzyńca oraz zabytkowymi domami.

Krzywiń opuszczamy jadąc asfaltową drogą w kierunku Świńca. Na rozwidleniu dróg w tej wiosce jedziemy prosto w stronę Wławia. Tutaj zobaczymy jedyne w swoim rodzaju kompozycje rzeźbiarskie autorstwa artysty ludowego Adolfa Nejranowskiego: fantastyczne figury zwierząt, kamienie z napisami o filozoficznej treści. Z Wławia jedziemy drogą asfaltową w stronę Choryni. Po około 1500 m skręcamy w lewo w drogę polną, która za około 600 m doprowadzi nas do lasu. Jedziemy dalej prosto – po chwili od lewej strony do-



Krzyż w lesie pod Czerwoną Wsią.

Fot. Leszek Michalczak

▶ łączają do nas znaki szlaku pieszego – oczywiście znowu koloru czarnego. Za niedługo skrzyżowanie leśnych dróg: skręcamy w lewo, a do „naszych” czarnych znaków dołączają z przeciwka znaki zielone. Na skrzyżowaniu wjeżdżamy na drogę asfaltową, która zaraz doprowadza nas do łuku na szosie Racot – Gryżyna. Wjeżdżamy

tu na ścieżkę rowerową, której nie opuścimy już aż do samego Nowego Dębca.

Po chwili dojeżdżamy do Gryżyny. Tutaj warto zobaczyć trzy obiekty: dwór zbudowany w 1793 roku dla Wiktora Wierusz-Kowalskiego, w pobliżu którego w parku stoi dawna lodownia z drugiej połowy XIX wieku. Nieopodal dworu neogotycki kościół pod wezwa-

niem św. Barbary. Zbudowany w latach 1887 – 1888 z czerwonej cegły z wysoką wieżą. W pobliżu dworu i kościoła rosną okazałe drzewa: lipy szerokolistne i drobnolistne, dęby i klony pospolite. Po opuszczeniu Gryżyny jedziemy dalej ścieżką rowerową do nowego Dębca, kończąc tam naszą wycieczkę.

TRASA NR 3

Nowy Dębiec – Osiek – Wławie – Kopaszewo – – Rudki – Świniec – Jurkowo – Wymysłowo – Polesie – Nowy Dębiec

Trasa liczy około 25 kilometrów. Z wczasowiska dojeżdżamy do szosy Gryżyna – Wojnowice, skręcamy w lewo i zaraz opuszczamy szosę, jadąc w prawo w skos za zielonymi znakami mickiewiczowskiego szlaku pieszego oddziału PTTK w Kościanie. Po niespełna trzech kilometrach gruntowa droga doprowadza nas do asfaltowej szosy Gryżyna – Jurkowo, którą kierujemy się w prawo. Po chwili pierwsze zabudowania Osieka. Ta wieś słynęła niegdyś z rolniczej spółdzielni produkcyjnej o uroczej nazwie „Jutrzenka”, która chyba dalej działa. Osiek to stara wieś wzmiankowana już w 1296 roku. W 1606 roku zbudowano w niej dwór, później kilkakrotnie przebudowywany (1795, 1859-1860, I ćw. XX w.). Stanowi on przykład, co może stać się z zabytkiem, jeśli jest on pozbawiony właściwej opieki. Od wielu lat niezamieszkały popada w ruinę. Dzisiaj można jeszcze zobaczyć część murów i fragmenty dachu. O dawnej świetności obiektu świadczą dwie kamienne figury lwów umieszczone po obu stronach wejścia. Dwór otoczony jest sporym parkiem (2,2 ha), w którym rośnie kilka drzew o wymiarach pomnikowych: topola kanadyjska, lipy drobnolistne, modrzew europejski. Dwór i park są własnością prywatną i dobrze byłoby, żeby właściciel spróbował je ocalić przed ostatecznym unicestwieniem. Wędrówkę kontynuujemy zjeżdżając koło dworu za znakami zielonymi do doliny Kanału Obry. Tam przejeżdżamy mostem na drugi (orograficznie prawy) brzeg i docieramy do Wławia (opis miejscowości – p. TRASA NR 2).

Z Wławia jedziemy asfaltową szosą w kierunku Choryni (cały czas towarzyszą nam zielone znaki). Po przebyciu około 1,5 km naszą trasę przecinają czarne znaki szlaku pieszego. Zostawiamy

asfalt i skręcamy w prawo. Po dość długim odcinku (ok. 5 km) czarny szlak doprowadza nas do Kopaszewa. Tutaj warto zobaczyć należący obecnie do firmy DANKO klasycystyczny dwór zbudowany w latach 1800 – 1801 dla rodziny Skórzewskich. W latach 1844 – 1939 właścicielami dworu byli Chłapowscy. Można tu obejrzeć ekspozycję poświęconą pobytemi we dworze Adama Mickiewicza oraz Helenie Modrzejewskiej.

Z kopaszewskim majątkiem wiąże się także tragiczna historia córki generała Dezyderego Chłapowskiego – Zofii. Wydana za mąż za Jana Koźmiana, po ciężkich przeżyciach osobistych, popełniła w 1853 roku samobójstwo w kopaszewskim parku. Na trasie konduktu pogrzebowego Kopaszewo – Rąbiń (gdzie w nekropolii Chłapowskich Zofia została pochowana) – wdowiec Jan Koźmian zbudował Drogę Krzyżową. Dzisiaj oryginalne, wykonane w Paryżu odlewy stacji drogi można zobaczyć we wnętrzu kaplicy pod wezwaniem Matki Bożej Śnieżnej, stojącej obok dworu. Po rekonstrukcji w latach 90 ubiegłego wieku można odbywać wędrówki szlakiem czarnym prowadzącym z Kopaszewa do Rąbinia. W zewnętrznej ścianie kaplicy w Kopaszewie wmurowane są stacje I i XIV, kolejne umieszczone są w pięciu kapliczkach, a dwie „środkowe” – VII i VIII wmurowane są w ścianie kościoła w Rąbinu. Wspomniana kaplica Matki Bożej Śnieżnej pochodzi z 1794 roku.

Zabudowania pałacowe w Kopaszewie otoczone są parkiem o powierzchni prawie 12 ha. W parku znajdziemy wiele drzew o wymiarach pomnikowych: dęby szypułkowe, topole czarne, buki, wiąz. Przed kaplicą rosnie wspaniały okaz lipy szerokolistnej. Na osi dworu, naprzeciw bramy, rosnie aleja platanów klonolistnych łączących sobie powyżej 100 lat, o obwo-

dach pni ponad 300 cm i wysokości ponad 20 m. Po zwiedzeniu kaplicy, pałacu i parku ruszamy w dalszą drogę – za znakami czarnymi i zielonymi jedziemy do Kopaszewka. Tu spotykamy pierwszą z kapliczek Kopaszewskiej Drogi Krzyżowej ze stacjami II i XIII. Tutaj też żegnamy się ze znakami szlaków pieszych i „prześiadamy” się na Ziemiański Szlak Rowerowy (znaki: sylwetka rowerzysty na białym tle, a pod nią zielony pasek).

Jedziemy w prawo do Rudek. Nasza trasa tutaj krzyżuje się z asfaltową szosą Świniec – Jerka, którą kierujemy się w prawo w stronę Świnca. Dojeżdżamy do wioski, skręcamy w prawo i na kolejnym rozwidleniu w lewo, jedziemy przez most na Kanale Obry i docieramy do Jurkowa – gniazda rodzinnego Morawskich. Urodzili się tutaj: Kazimierz Morawski – filolog, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kajetan Morawski – ambasador RP we Francji, a mieszkał w dzieciństwie Maciej Morawski – późniejszy dziennikarz redakcji polskiej Radia Wolna Europa. W centrum wsi stoi kościół pod wezwaniem Narodzenia Najświętszej Panny Marii, neoromański, zbudowany w 1904 roku. W kościele znajduje się ołtarz główny, drewniany z XVIII wieku z obrazem Matki Bożej Częstochowskiej z drugiej połowy XVIII wieku oraz tablice epitafijne Morawskich. W parku znajduje się dwór zbudowany w końcu XIX wieku, otoczony drzewostanem z cennymi okazami lip drobnolistnych, dębów szypułkowych oraz jesionów wyniosłych. Z Jurkowa kierujemy się drogą w kierunku Zglińca, przez Jurkowo – Huby. Droga prowadzi także przez las – przejeżdżamy obok leśniczówki „Jurkowo”. Po ok. 5 km jesteśmy w Zglińcu. Skręcamy w prawo, mijamy folwark Polesie i dojeżdżamy do Dębca Nowego, gdzie kończymy naszą wędrówkę.

LESZEK MICHALCZAK



Figura w Krzywiniu.

Fot. Leszek Michalczak

A może na ryby...

Lato sprzyja rozwijaniu pasji związanych z przyrodą. Niektórzy lubią wsiąść na rower i pojeździć po malowniczych okolicach, inni wolą spacerować, a można też za namową Starszych Panów pojechać na ryby. Zatem będzie o wędkowaniu, o którym opowiedzą wieloletni członkowie Polskiego Związku Wędkarskiego Koło Kościan – Józef Jędrówiak i Edward Żurek.

Zainteresowanie łowieniem ryb rodzi się najczęściej na wspólnych wyjazdach z przyjaciółmi czy rodziną nad wodę. Ale „połknięcie bakiyla” to dopiero początek wędkarskiej drogi, bo wędkarstwo wcale nie jest taką prostą sprawą jakby się mogło komuś wydawać. Nie wystarczy kupić sprzęt i pojechać nad wodę. Trzeba jeszcze spełnić kilka formalności, o których szerzej w ramce.

Powiat kościański jest krainą bogatą w malowniczo położone jeziora. Miejsca, gdzie można wędkować jest więc sporo. Okoliczne wody, na których kościańscy wędkarze mogą zarzucać przynętę to Wonieść, Jezierzycze, Wojnowice, Witośław, Żelazno, Zbęchy, Cichowo, Mościszki, Ziemińce, jezioro w Krzywiniu, Krzycko oraz stawy tzw. „glinianki” w Racocie. A jeśli kto lubi wędkarstwo rzeczne dostępne są rozległe kanały Obry. Kościaniaci często zapuszczają się też na „wędkarskie łowy” nad Wartę. Wymienione rzeki, stawy oraz jezioro w Krzywiniu znajdują się pod opieką poszczególnych kół Polskiego Związku Wędkarskiego, jeziorami zarządza Agencja Rolna Skarbu Państwa.

Rzeczny lis

Wody powiatu kościańskiego niegdyś bogate były w liczne gatunki ryb. – Pamiętam takie czasy, kilkanaście lat temu, kiedy mówiło się o latających rybach. Płynąłem kajakiem z jeziora Woniejskiego do Obry, a nad głową tworzył się kolorowy parasol z ryb. Wówczas było ich tak dużo, i tak różnorodnie gatunki, że nie miały po prostu gdzie uciekać – wspomina z sentymentem Józef Jędrówiak. – Nie zapomnę splawiających się leszczy na Wonieściu. Cóż to za widok! Do dziś widzę ten miedziany kolor ryb na tle stalowej tafli wody – dodaje Edward Żurek.

Dziś nie jest to zbyt częsty obraz. Leszcze zostały „przełowione” przez okolicznych wędkarzy. We wcześniej nie było odgórnie wyznaczonych limitów. Ryby poławiano w hurtowych ilościach, nie



Józef Jędrówiak ze swoją rekordową rybą – trzynastokilogramowym szczupakiem złowionym na jeziorze Wonieść
Fot. Paweł Salacki

licząc się z tym, że kiedyś może ich zabraknąć. Co niestety stało się faktem w przypadku leszcza. Wciąż jednak w okolicznych wodach jest duży wybór gatunków. W kanale Obry występują typowe dla tego środowiska ryby, które często spływają tu na tarło. Tak jest z cętką. To ryba dwuśrodowiskowa, któ-

ra przychodzi z morza i właśnie do rzek wpływa na tarło. Ciesząc ucho informacją dla wielu wędkarzy, ale nie tylko wędkarzy, może stanowić fakt, że od jakiegoś czasu ryba ta zaczęła ponownie pojawiać się w naszej Obrze. Był czas, kiedy ze względu na duże zanieczyszczenie kanału nie występowała w jego wodach.

Innym ciekawym gatunkiem tu występującym jest miętus – jedyny dorszowaty w słodkich wodach w Polsce. Oprócz tych indywidualności mamy popularne jazie, płocie, klenie, okonie, węgorze, liny, leszcze i ukleje. Z mniejszych rybek różanka oraz ciernik.

W jeziorach najczęściej żyje sandacz, szczupak, leszcz, karaś, karp, krąp, lin, płoć, okoń, ukleja i węgorz. W Żelaznie, przy dopisującym szczęściu, znajdzie się tołpygę czy amura. Ciekawostka. W jeziorze dominickim oraz woniejskim pojawił się sum. Nie uszedł bystremu oku wędkarza.

– Całkiem niedawno widziano go splawiającego się w okolicach stacji żeglarskiej na Dębcu. Na „wędkarskie oko” sztuka wygląda na dość pokazną. Na razie los jej sprzyja i nie znalazł się szczęśliwiec, któremu udało się złapać ją na haczyk. Sum jest jedną z większych ryb, która pływa w wodach Polski. Potrafi ważyć nawet 100 kilogramów – stwierdza Józef Jędrówiak.

Jeśli chodzi o gatunki rzeczne do większych należą niewątpliwie klenie. Osiągają długość do 80 cm oraz wagę około 5 kg. Rzadko jednak udaje się je złowić. To gatunek niezwykle przebiegły, prawdziwy „cwany rzeczny lis”. Sztuka ta wymaga nie lada precyzji i finezji, daje się złowić tylko bardzo doświadczonym wędkarzom.

Dwa kije na wędkarza

Aby wyjazd nad wodę okazał się udany, a połów owocny należy poznać i stosować stare, dobrze sprawdzone zasady wędkarskie. Wedle słów doświadczonego wędkarza są to: – Miłe i pożyteczne spędzenie czasu, bo wędkowanie to przede wszystkim przyjemność. Kolejna zasada nakazuje przestrzeganie reguł obowiązujących w przyrodzie. Nie śmiecić i sprzątać po sobie. Niestety, ta ostatnia jest często łamana. Przykro to stwierdzić, ale takie są fakty – kwituje pan Józef.

Teraz o podstawowych zasadach. Wędkarz może łowić zarówno z łodzi, jaki i z brzegu. Wyjątkiem mogą być wody prywatne, na których to właściciel ustala zasady. Ogólnie rzecz biorąc

wszędzie można łowić w dzień. Na wodach PZW tj. Krzywiń, racockie stawy, Obra i Warta również nocą. Na jeziorach bywa różnie. Na wodach Wonieścia nocą wolno łowić jedynie latem. Kontroli podlega liczba wędek – na jednego wędkarza przypadają maksymalnie dwie wędkę, przy czym amator spinningu może używać tylko jednego kija.

Ryby jako istoty wolne i niezależne nie podlegają żadnej kontroli. Za to wędkarze i owszem, są kontrolowani przez Państwową Straż Rybacką oraz Społeczną Straż Wędkarską. Powinni się mieć na baczno-

Prawdziwy w' dkarz powinien wykazać si' dobrą znajomością przyrody, zasad w niej obowiązujących oraz gruntownym opanowaniem przepisów ochronnych dotyczących poszczególnych gatunków ryb. Aby [] owić na wodach publicznych (stanowiących zdecydowaną wi' kszo'ęc w kraju) nale y posiadać kart' w' dkarzskã. Jest to dokument wydawany do ywotnio przez starostwo powiatowe. Zanim jednak otrzyma si' kart' nale y zdać egzamin przed komisjã w jednym z kó[] PZW. W Ko'ęcianie dzia[] ajã dwa: pierwsze – zdecydowanie liczniejsze – oko[] o 800 cz[] onków to ko[] omiejskie. Jego prezesem jest W[] odzimirz Kaczor. Drugie, trochę' mniejsze, dzia[] a przy „Metalchemie”. Aby być cz[] onkiem danego ko[] a nale y op[] acać coroczne sk[] adki. Podstawowa sk[] adkach[] onkowska wynosi 96z[] otych, dotego op[] aty za wody nizinne lub górskie. To tyle w ramach formalno'ci. Kiedy ju je spe[] nimy mo emy jechać nad wod'. (k)

ści i pilnować, by wylawiane przez nich ryby spełniały odpowiednie wymiary, które szczegółowo określa kodeks wędkarski.

Pora na kilka słów o sprzęcie i technikach połowu. Jak w każdej pasji także w wędkarstwie na przestrzeni lat pojawiały się i znikaly różne mody i trendy.

– Ryby łowiłem od zawsze. Kiedy byłem dzieckiem nie było jeszcze mowy o profesjonalnych kijach i kołowrotkach. Moja pierwsza wędka to był najprostsz brzozowy kij. Sam ją zrobiłem. Żyłkę przywiązałem do czubka. I gotowe. Niezbyt skomplikowany, ale

skuteczny sprzęt. Dopiero jak miałem 8 lat zobaczyłem pierwszy kołowrotek. Dostałem go od ojca. To było coś. Mój własny, profesjonalny – opowiada Jędrówiak. – Tak, tak – dodaje Żurek. – Zaczynałem tak samo. Kij z brzozy, a jak udało się zdobyć leszczynę to była rewelacja. Leszczyna jest bardziej giętka więc idealna do wędkowania.

– Czas nie stał w miejscu. Sprzęt zmieniał się. Stopniowo pojawiły się kije bambusowe, po nich włókno szklane – sprowadzane od naszych sąsiadów z dawnych Niemiec Wschodnich. Było bardzo ciężkie, ale bardzo sprężyste. Na taką wędkę złowisz byka za rogi i się nie złamie – przekonuje pan Józef.

Dzisiaj królują wędkę z włókna węglowego. Materiał jest bardzo lekki, sprężysty i jednocześnie wytrzymały. Ma jednak wadę. Mianowicie małą odporność na uderzenia. Wędka da się wyginać bez strachu, że się złamie, ale wystarczy lekko uderzyć wtedy pęka. Coraz częściej na jeziorach pojawia się echosonda. To urządzenie niewątpliwie ułatwia wędkarzom zadanie. Co prawda, nie sprawi, by ryby chwytaly przynęty, ale pozwala odnajdywać ich skupiska. A to już duże ułatwienie. Echosonda ma swoich zagorzałych zwolenników i przeciwników.

Każdy wędkarz ma swoją ulubioną metodę. A jest ich kilka. Łapanie na żywiec czy inne przynęty. Popularne jest łowienie na sposób gruntowy, czyli naprzynętę leżącą na dnie. Wszystkie przebija metoda splawikowa – chyba najbardziej popularna na naszych wodach. Spinningowa – błyski obrotowe i spinningowe. I ostatnia muchowa.

Ciemna strona wędkowania

Żeby nie było za dobrze wędkarstwo boryka się z wieloma trudnościami. Prawdziwą bolączką są „pseudowędkarze”. Ludzie, którzy nie stosują się do przepisów, ignorują okresy i wymiary ochronne poszczególnych gatunków ryb. Mało tego, zostawiają po sobie puszki po piwie i inne śmieci. To właśnie oni tworzą negatywny obraz

► tego sportu. Prawdziwy wędkarz rozumie przyrodę i zasady w niej obowiązujące. Wie jak zachować się nad jeziorem. Inną plagą na wodach powiatu kościańskiego, ale też w skali kraju, jest kłusownictwo, ściślej mówiąc połów do sieci. Często na okolicznych jeziorach widać pozakładane siatki. W starciu z nimi ryby nie mają żadnych szans. Często giną w sieci przez uduszenie.

– Ostatnio widziałem taką siatkę pozostawioną w trzcinie opodal tamy na rozlewisku w Wonieściu. Była pełna drobnych ryb czy też mniej popularnych na naszych stołach gatunków. Był to połów typowo na zarobek. Kłusownicy wzięli lepszą rybę, a mniej wartościową porzucili. Smutny widok – opisuje Edward Żurek. – Kłusownik liczy na łatwy zysk. Jest to jednak ryzyko. Kłusownictwo według Kodeksu Karnego to przestępstwo zagrożone karą pozbawienia wolności i grzywną – dodaje.

Niespodzianka na wędce

Przygody lubią wędkarzy. W końcu nigdy nie wiadomo, co kryją odmęty jezior i rzek. Nierzadko na wędkę złapać można całkiem zaskakującą niespodziankę.

– Pamiętam naszą wspólną wyprawę nad morze. Fala była ogromna, nigdy wcześniej takiej na Bałtyku nie widziałem. Staliśmy na molo dość długo. Wędki zarzucone, aż tu nagle jest. Mam branie. Żyłka napina się, wędka ugina – to musi być potężna sztuka – myślę. Wokół zgromadził się już spory tłum gapiów. Wszyscy dopingują. Walczę. Trwało to chyba z dobrą godzinę, myślałem już, że żyłka nie wytrzyma. Aż w końcu wygrałem, udało się. Wyciągam zdobycz. I co widzę? Na haczyku plastikowa reklamówka. Przez ogromną siłę wody i fale ponad godzinę walczyłem z plastikowym workiem! – wspomina Edward Żurek.

Nie zawsze uda się przyjść do domu z tarczą. Czasem ryby za nic nie chcą brać. Zdaniem pasjonatów, niezależnie od rezultatu, warto wędkować. Już sama wyprawa nad wodę jest przyjemnością i sukcesem. A jak uda się coś złapać satysfakcja podwójna. A zatem jak śpiewali Starsi Panowie:

Na ryby – w każdziuteńki wolny dzień

Na ryby – nad leniwą rzekę w cień

Na ryby...



KATARZYNA ŻUREK Edward Żurek nad jeziorem Wonieść na początku lat 80. Fot. arch. Edwarda Żurka